GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 SIERPNIA 1932
NR. 14 – 15 ROK II

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 14-15
1—VIII
1932 R

KOMITET REDAKCYJNY: ALEKSANDER K. IVANKA, BOHDAN ŁĄCZKOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, JÓZEF PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

DWA TYGODNIE

CZY POCZĄTEK REAKCJI?

Snując dalej nasze przypuszczenia z przed kilku tygodni o zarysowującej się ostatnio słabej tendencji do optymizmu w zakresie międzynarodowej terapji krzyzysu, zatrzymujemy się przy wynikach zjazdu lozańskiego. Bardzo różnie można osądzać jego znaczenie merytoryczne, ale największy sceptyk nawet przyznać musi, iż „coś w tem jednak jest". Bądź co bądź — jakiś wynik został przecież osiągnięty. Można potrzykroć dowodzić (i zupełnie zresztą słusznie), że ów „koniec odszkodowań", jaki otrąbiony został urbi et orbi po układach lozańskich z dn. 9 lipca, nie jest bynajmniej ostateczny, że zależy on od ustosunkowania się Stanów Zjednoczonych do całości problematu długów międzysojuszniczych, że w Waszyngtonie dotychczas brak jest wszelkich oznak istotnego zrozumienia sytuacji, a że raczej opinja amerykańska wydaje się nie rozumieć zupełnie sytuacji i z uporem trwa w swoim „nadrzędno-formalistycznym" — że użyjemy tego skrótu myślowego — punkcie widzenia, ale przecież czuje się raczej niż widzi naocznie pewną istotną zmianę w całokształcie położenia międzynarodowego. Czy będzie tak — czy owak, pierwszy krok został zrobiony. I z dużem zainteresowaniem, jeśli już nie nadzieją, czekać trzeba na następne.

Jeżeli spróbować wyprowadzić najogólniejszą syntezę z wyników trzytygodniowych sporów i targów lozańskich, to, mimo całej wagi rozstrzygnięcia w sprawie niemieckich odszkodowań, jakie tam — prawda, że warunkowo, — zapadło, na pierwszy plan, zdaniem naszem, wysuwa się nie formalny układ finansowy pomiędzy Niemcami i ich wierzycielami, ile raczej oznaki wyraźnie zarysowującej się współpracy pewnych państw pro futuro. Mówiąc otwarcie przecież, nikt z trochę chociażby orjentujących się w sytuacji nawet przed Lozanną nie przypuszczał ani na chwilę, że Niemcy będą płacić natychmiast, a co więcej, że będą wogóle płacić w ramach dotychczasowych swych zobowiązań, chociażby uzyskały kilkoletnie moratorjum. W ten czy inny sposób zatem zjazd lozański musiał sankcjonować formalnie tę sytuację faktyczną, jaka wynikła już przed nim. Co jest jednak o wiele bardziej znamienne, to fakt ustalenia wspólnej linji postępowania na przyszłość, w wielkiej sprawie wierzytelności amerykańskich wobec Europy, wspólnego frontu dłużników europejskich. Nic dziwnego, że poufne „gentlemen agreement" z dn. 2 lipca, gdzie Francja, Anglja, Belgja i Włochy zawierają niejako przymierze dla wywalczenia sobie wobec Waszyngtonu pełnego niemal zwolnienia z długów wojennych, wywołało większe wrażenie niż sam protokół w sprawach odszkodowań niemieckich. Wydaje się, jakgdyby zbliżał się ostatni akt europejskich prób zrzucenia nieznośnej finansowej supremacji Stanów Zjednoczonych, supremacji, będącej niewątpliwie jednem z głównych źródeł zachwiania się równowagi gospodarczej świata. Przyszłość pokaże, czy jesień, rb. stanie się istotnie okresem tej decydującej rozgrywki...

Dla Polski odszkodowania niemieckie posiadają niewielkie znaczenie tak, iż rozstrzygnięcie, jakie zapadło pod tym względem w Lozannie, mało jest dla nas interesujące. Zagadnienie długów wojennych — ważne dla naszego budżetu, zwłaszcza w okresie tak silnych redukcyj wydatków państwowych, — z punktu widzenia ogólno - gospodarczego czy politycznego również nie przedstawia dla nas bezpośredniego zainteresowania. O wiele natomiast ważniejsze jest to, o czem w Lozannie formalnie nie napisano, ale co przebija ze wszystkich uchwał, a przedewszystkiem — z techniki przeprowadzenia ich na

konferencji. Trzeba powiedzieć, iż zjazd lozański miał ze zjazdami, odbywającemi się pod egidą Ligi Narodów, bardzo niewiele wspólnego właśnie w tem, co tyczy się jego charakteru zewnętrznego. Nic w Lozannie nie wskazywało na ustaloną, formalnie przynajmniej, genewską równość wszystkich państw suwerennych, umożliwiającą Guatemali czy Persji być in mediis rebus wszystkich zagadnień, dyskutowanych na tym terenie. Lozanna pracowała bez komisyj, bez sesyj plenarnych — w gabinetach i na poufnych rozmowach przedstawicieli kilku głównych delegacyj. Reszta zaproszonych nie wiedziała o perypetjach walk gabinetowych nieomal że nic. Nigdy chyba w ciągu lat ostatnich podział na „silnych" i „słabych" nie miał tak doskonałego odbicia. I nic dziwnego, że coraz częściej mówi się obecnie o wznowieniu „koncertu" europejskiego z drugiej połowy ub. wieku i początków wieku bieżącego, koncertu, t. zw. wielkich mocarstw, decydujących i rządzących stosunkami europejskiemi we własnym zakresie i bez wszelkiego „demokratyzmu" Ligi Narodów. Francusko - brytyjskie „entente cordiale" należy niewątpliwie do przejawów tej tendencji. Nie należymy do tych, którzyby chcieli w umowie tej widzieć jakieś konkretne niebezpieczeństwo wywleczenia na forum międzynarodowe naszego terytorjalnego stanu posiadania. Ani czas — ani miejsce potemu. Natomiast faktem jest, iż na zachodzie Europy tworzyć się zaczyna jakiś „foedus" mocarstw wysoko - kapitalistycznych, które pragną zgrupować za sobą całą Europę w rozgrywce ze Stanami Zjednoczonemi. W wojnie prowadzonej nad brzegami oceanu Atlantyckiego, chociażby to była tylko wojna dyplomatyczna, trzeba mieć mocny „hinterland" za sobą. Hinterlandowi temu należy narzucić taką sanację, jakiej on — zdaniem rzeczoznawców — wymaga. Ale sanacja ta ma być ostra. Jeśli Europa środkowo - wschodnią ma otrzymać pożyczki, to pod kontrolą finansową. Jeśli uzyskać ma ułatwienia w zbycie produktów rolnych — to wzamian za rekompensaty w dziedzinie przemysłowej na rzecz „możnych tego świata". Kwestja odszkodowań niemieckich sytuacji uzdrowieniowej nie wypełnia. Trzeba szukać rozwiązań dalszych. Państwa Europy środkowo - wschodniej nadają się do tego znakomicie. Trzeba zatem je wykorzystać i... odpowiednio na nich zarobić. Oto wszystko.

Inicjatywa polska zwołania bloku rolnego państw środkowo - wschodniej części naszego kontynentu, podjęta przez Polskę, ma zatem duże znaczenie. Mą ona za zadanie wspólne naradzenie się zainteresowanych nad tem, co ich czeka i czekać może. Istnieje mianowicie, obawa, iż w młynie wielkich światowych planów gospodarczych przypadkowo i „niechcący" ucierpi jakiś organizm państwowy, który jest zbyt słaby, aby stawiał zbyt silny opór przeciwko obdzieraniu go „w imię dobra ogólnego". Gospodarczy „koncert" europejski nie usposabia do ufności.

ALEKSANDER K. IWANKA

KONTROLA EX POST

W polityce gospodarczej, administracji publicznej i gospodarce prywatnej zagadnienie kontroli ex post wysuwa się jako ważne zagadnienie o charakterze społecznym. Jest to bodaj dla gospodarstwa naszego ważniejsze, niż zagadnienie planowości.

Komuż nie jest znane te ciekawe, bo specyficzne dla naszego narodu przysłowie: „mądry Polak po szkodzie". Jak rozumiany jest sens tego proverbium? Zdaje się, że prawie wszyscy przypuszczają, iż jest to wyraz naszej nieprzezorności i barku przewidywania. Być może, że komentarz ten jest słuszny, bowiem przysłowie to wymawiane jest naogół ironicznie i cechowane twardym akcentem na słowie „szkoda", a sceptycznym na słowie „mądry". Ale gdyby zmienić potoczną intonację zdania — gdyby przysłowie wymawiać poważnie, z akcentem przejęcia na słowie „mądry", a słowa „po szkodzie" traktować jako określenie okoliczności czasu — czy wtedy rzeczywistość polska dałaby tej zmianie uzasadnienie? Innemi słowy, czy istnieje w społeczeństwie naszem należycie rozwinięty zmysł krytyczny w ocenie zjawisk i faktów minionych, czy wyciągane są stąd właściwe wnioski, czy operujemy dobrą techniką dla zdobywania materjału i właściwą metodą dla oceny faktów?

Czy istnieje właściwa kontrola ex post, jako zagadnienie społeczne?

Jakoś nasza literatura ekonomiczna rzadko zajmuje się tym problemem, wogóle prawie wcale nie spotykamy samego pojęcia kontroli ex post. Zato pełno jest innego zagadnienia: planowości. Cała nasza prasa ekonomiczna fachowa i codzienna, niemal wszyscy ekonomiści, więcej — szerokie warstwy inteligencji zasugerowane zostały zagadnieniem: planowość. Obojętnem jest dla niniejszego artykułu, dlaczego problem ten stał się tak atrakcyjny — działały tu oczywiście i wyczucia współczesnej ewolucji gospodarczej świata i potrzeby rodzime gospodarstwa polskiego i przykłady państw europejskich, a także i Ameryki — dla niniejszego artykułu ważnem jest natomiast czy wysunięte hasło planowości realizuje istotnie potrzeby gospodarstwa polskiego w zakresie metodyki polityki gospodarczej i czy nie stwarza ono dysproporcji w stosunku do innego problemu — kontroli ex post.

W przeciwieństwie do problemu planowości problem kontroli ex post pozostaje w cieniu i zagadnieniem społecznem u nas nie jest. Jest to dziwne w związku właśnie z wysuwanem hasłem planowości, bo planowanie musi w dużym stopniu opierać się na kontroli ex post; z innych względów jest to natomiast zrozumiałe: planowość jako przejaw planu, zamierzenia, a więc jako uchwycenie w soczewkę przyszłości, posiada wielki charakter atrakcyjny, natomiast kontrola ex post jako zagadnienie analizy przeszłości oczywiście tego charakteru atrakcyjnego posiadać nie może. Bo... co tam kogo... zeszłoroczny śnieg. A i tak się mawia: „co było a nie jest, nie pisze się w rejestr". Skoro poruszam w nin. artykule zagadnienie kontroli ex post i wysuwam to zagadnienie, jako kwalifikujące się do stania się problemem społecznym, to należy wyjaśnić trzy kwestje: 1) dlaczego zagadnienie kontroli ex post w Polsce jest tak mało doceniane, 2) jakie braki na tem tle obserwujemy w gospodarstwie naszem, i 3) jaką doniosłość dla polityki gospodarczej posiada należyte postawienie kontroli ex post.

Brak zrozumienia znaczenia i doniosłości kontroli ex post skłonny jestem wiązać z dwiema okolicznościami: niemożnością właściwego udziału społeczeństwa polskiego w życiu politycznem państwa w dobie niewoli i z psychiką gospodarczą tradycjonalistyczną, gospodarstwa rolnego. O ile pierwsza przyczyna jest zrozumiała sama przez się, o tyle wyjaśnieniu drugiej należy poświęcić słów parę. Cechą gospodarstwa rolnego w państwach mało uprzemysłowionych jest fakt, iż znaczna część produktów wytworzonych przez dane gospodarstwo nie dostaje się do obrotu lecz zostaje skonsumowana w obrębie danego gospodarstwa. Stąd też produkty te nie uzyskują ceny i im bardziej jest dane gospodarstwo rolne samowystarczalne, tem bardziej obojętną staje się kwestja cen rynkowych. Tem samem ogromnie maleją na znaczeniu takie zagadnienia jak kosztów produkcji, szacowania remanentów itd. Następnie w zakresie techniki produkcji istnieje bardzo mała zmienność, wiele, bardzo wiele odbywa się zgodnie z tradycją szeregu lat. Również element ludzki zatrudniany przy produkcji rolnej jest bardzo mało zmienny, przeważnie są to chłopi tej samej lub okolicznych wsi, którzy byli znani od dziecka, znano ich ojców i dziadów i na tle pożycia sąsiedzkiego urobiono sobie opinję. Wreszcie podmiotem gospodarującym jest jednostka — właściciel majątku, który w przeciwieństwie do dyrektora fabryki niema żadnych akcjonarjuszów i walnych zebrań, którym byłby obowiązany składać sprawozdania. To też kontrola ex post nie odgrywa większego znaczenia w gospodarstwie rolnem w Polsce. Komuż nie przypomni się humorystyczny obrazek raportu gospodarskiego, opisanego w „Sobolu i Pannie" Weyssenhoffa:

„W Potyłcie groch sialiśmy, ale zabrakło na pół dziesięciny.

— Czemu nie dobrałeś, kapitanie, z Głaczańskiego świrna?

— Posłałem Wejkutisa, ale póki wrócił już i słońce zaszło.

— A ile mleka było w tutejszej oborze?

— Było... nie to, aby mniej niż wczoraj, ale i nie więcej.

— Ile garncy?

— Wejkutis zapisywał, dlatego on i nie pośpiał z grochem do Potyłty".

Małe znaczenie kontroli ex post w gospodarstwie rolnem oprócz poprzednio przytoczonych przyczyn, ma jeszcze jedno wytłumaczenie, a zarazem i uzasadnienie, Jest niem okoliczność, iż sam warsztat rolny i procesy w nim zachodzące są ciągle „na oczach" właściciela, jest ten ciągły kontakt bezpośredni pomiędzy dysponentem gospodarczym-właścicielem, a obszarem gospodarowanym i kontrolowanym.

Oczywiście, iż w miarę, jak następuje coraz większe oddalenie jednostek zainteresowanych od terenu gospodarowanego, w miarę, jak zwiększa się skomplikowanie procesów i występuje w większym stopniu zmienność elementów, zwiększa się zakres, tem problem kontroli ex post staje się ważniejszy.

Na tem tle obserwujemy szereg braków w naszem gospodarstwie. Pierwszym brakiem jest niedość precyzyjne zorganizowanie sprawozdawczości. Posiadamy dość obfite materjały drukowane, ujmujące syntetycznie zjawiska zachodzące na określonych terenach, ale brak jest materjałów i analiz, dotyczących poszczególnych fragmentów. Posiadamy sporo danych statystycznych, ale brak jest tego, co stanowi istotę sprawozdania: opisu i oceny faktu[1]. W gospodarce państwowej została wprowadzona inowacja przez rozpoczęcie wydawnictwa p. t. Materjały do działalności rządu. Ale na innych terenach gospodarki publicznej nie obserwujemy podobnego faktu. Dość wymienić, wprawdzie b. starannie opracowywane, ale z dużem opóźnieniem ukazujące się wydawnictwo Rocznika Ubezpieczeń Społecznych.

Pewna niedostateczność materjałów nie jest głównym brakiem istniejącej u nas kontroli ex post, odwrotnie, powiedziałbym, że społeczeństwo jest stosunkowo obficie w materjały zaopatrywane. Zdumiewającym jest natomiast drugi brak, a mianowicie brak zupełnego zainteresowania temi materjałami. Weźmy dla przykładu budżet i zamknięcia rachunkowe. Budżetem, jako planem, jako zamierzeniem, interesuje się ogół, zamknięcia rachunkowe nie są zaszczycane zainteresowaniem społeczeństwa. Albo z innej dziedziny przykład: czy są u nas omawiane bilanse i rachunki strat i zysków większych przedsiębiorstw?

Nic dziwnego, że przy braku zainteresowania, nie może powstać i rozwinąć się analiza krytyczna działalności i wypadków gospodarczych. Zdaje się, że poza faktem załamania się złotego w 1925 r., żaden inny fakt gospodarczy nie doczekał się nieco obszerniejszego omówienia. I to jest trzeci i najważniejszy brak — brak wyciągania w wyniku kontroli ex post wniosków, które w następstwie stają się pewnemi drogowskazami na przyszłość.

A przecież kwestja kontroli ex post posiada szczególnie doniosłą wartość i wszyscy ci, którzy mówią, czy przebąkują o potrzebie planowości w gospodarstwie, muszą uznać, iż podstawą do planowania, więcej podstawą do wszelkiej dalszej działalności jest kontrola ex post tego, co zostało dokonane.

Racjonalnie zorganizowana kontrola ex post zapewnia nam dwie rzeczy: porównanie wykonania z zamierzeniami a tem samem wskazanie słusznych i nie słusznych założeń oraz właściwe nastawienie wykonawców dyspozycji w ich pracy. Ciekaw jestem czy i jakie wnioski wyciągane były w wypadkach, gdy koszt budowy zamierzonej budowli przekraczał pa-

[1]) Porównaj notatkę p. t. „Martwe liczby" w Nr. 5 z b. r.

rokrotnie pierwotny kosztorys, a wypadki takie zdarzały się. A czy nie charakterystycznemi są te skargi jakie dość często słyszymy od znajomych, że tak „wpadli" przez należenie do takiej lub innej spółdzielni budowlanej. Czy nie winnemi są obywatele i rady miejskie tych miast, które nie umieją uporządkować swej gospodarki, obywatel jest niezadowolony z obciążenia podstawowego i złej gospodarki, ale nie przejawia właściwej inicjatywy, żeby zbadać w czem leży zło. A akcjonarjusze, którzy nie wiedzą jak prowadzona jest spółka, w której ulokowali swe kapitały. Przykładów możnaby mnożyć wiele.

Lecz cóż mówić o brakach kontroli ex post na forum bardziej ogólnem, skoro wadliwa lub niedostatecznie zorganizowaną kontrolę ex post spotykamy tak często w życiu codziennem, w robocie praktycznej. Nic dziwnego, że w takich warunkach wykonawcy otrzymywanej dyspozycji gospodarczej często trwają w błędnej technice wykonania, a czasem bezczynności, kontrola ex post nie umie tego na jaw wydobyć.

Wszystkie one zbiegną się w jeden wniosek, że zagadnienie kontroli ex post jest bardzo mało w Polsce doceniane i nie stanowi zagadnienia społecznego. W tych warunkach aparat gospodarstwa społecznego musi nieuchronnie przejawiać więcej braków, a błędy raz popełnione, mają możność powtarzania się. W ten sposób powstaje zbędna utrata części energji społecznej.

Mądry Polak po szkodzie.

Tak, podobnie jak Anglik, Francuz, Włoch, Niemiec, każdy zapoznawszy się z powstaniem jakiegoś braku lub szkody, wie, że tak już postępować nie należy, że to a to trzeba zmienić, „mądrzeje". Tylko, aby to następować mogło, trzeba właśnie umieć poznawać „szkody", kwestja kontroli ex post powinna stać się zagadnieniem społecznem.

T. AUGUSTYN

KONTROLA PREWENCYJNA

Kontrola prewencyjna polega na badaniu każdego zarządzenia władz spółki z punktu widzenia interesów całokształtu gospodarstwa narodowego.

Artykuły p. Meyera, na których fatalnie odbiły się metody nauk przyrodniczych, starannie omijały wszystko, co nie jest djagnozą. Wnioski praktyczne, wskazania na dzień dzisiejszy, dla niego nie istnieją. Pozwalam sobie ten błąd podkreślić, aby móc brakujące wnioski wyciągnąć.

O ocenie interwencji wspomina p. Meyer jakby mimochodem — szkoda: w tej dziedzinie jest klucz do przebudowy ustroju i usunięcia zła dnia dzisiejszego.

O ile przedsiębiorstwo lub (trzymając się terminologji p. Meyera) grupa branżowa wzywa pomocy państwa, to obowiązkiem państwa jest żądać za pomoc zapłaty.

Zapłata może być:

po pierwsze — kapitałowa,
po drugie — organizacyjna,
po trzecie — personalna.

Ta trzecia najmniej wymaga wyjaśnień. Nie każdy dyrektor szkodzący branży, lub przedsiębiorstwu jest przestępcą z art. 577 i 578 K. K., aby go mogło Państwo normalną drogą prawną usunąć; często nawet i wtedy trudno przeprowadzić dowód przestępstwa. Czasami przyczyną złego jest wręcz nieudolność ludzi, którzy ze względów formalnych nie są usuwalni.

Wtedy państwo, za cenę interwencji, żądać może usunięcia nieudolnych.

Ceny kapitałowe nie zawsze przynoszą korzyść państwu. Są to: gwarancja hipoteczna, udział w kapitale, wreszcie ustąpienie państwu warsztatu pracy przez niedoratowaną spółkę.

Wszystkie one, uciążliwe albo dla spółek, albo dla ich właścicieli, mało korzyści przynoszą państwu. Gwarancja hipoteczna, lub przepisanie tytułu własności równoważne są z zamrożeniem części pieniędzy skarbowych. Państwo nie stać na przekreślenie aktywu i na sprzedaż np. sumy hipotecznej za 50% nominalnej wartości, o ile taka jest cena rynkowa, i aktyw taki, jak złota kula u nogi, wiąże nie dłużnika, a wierzyciela.

Portfel akcyj łatwiej się nadaje do upłynnienia: nie znam jednak wypadku, aby takie upłynnienie miało miejsce. Przeciwnie z historji 1931 roku znamy fakt przejęcia przez państwo portfelu większości akcji ciężkiego przemysłu i żeglugi we Włoszech. Rozwój wypadków idzie więc raczej po linji upaństwowienia, a nie odpaństwowienia przedsiębiorstw półpaństwowych, ew. mieszanych.

Za jaką więc cenę ma państwo interwenjować?

Nie za cenę nabycia przedsiębiorstwa, bo taki przybytek majątku państwowego może stać się darem Danaów.

Nie za cenę oprocentowanych pożyczek, bo procent ten może przekraczać osłabione siły przedsiębiorstwa i ostatecznie je obalić.

Nie za cenę kierowania temi przedsiębiorstwami, ze względów na psychikę rynku, na uprawnienia pracowników, na sprężystość kierownictwa i in.

Jedynie za cenę kontroli prewencyjnej ich kierownictwa.

Kontrola taka niezbędna jest, jako substytut automatyzmu zjawisk gospodarczych.

Kontrola prewencyjna polega na badaniu każdego zarządzenia władz spółki z punktu widzenia nie interesów tej spółki, a interesów całokształtu gospodarstwa narodowego i na dokładnem odważeniu skutków każdego posunięcia: na rynku pracy, na zdolności produkcyjnej warsztatów krajowych, na stosunkach handlowych z układami gospodarczemi postronnemi i t. p.

Jakie organy są powołane do sprawowania tej kontroli?

Ustrój kapitalistyczny stworzył organy, które do tego celu zastosować można. Ale organy te: Komisje

Rewizyjne — Rady Nadzorcze — Komitety, wynagradzane przez Spółkę, z inicjatywy jej Zarządu i z jej zysków, przeprowadzały nadzór i kontrolę z punktu widzenia interesów tej spółki i zgodnie z życzeniami inicjatora wysokości uposażeń, t. j. Zarządu. Do rzadkich wyjątków należą członkowie władz nadzorczych, oponujący przeciw rentownym inwestycjom, wobec wystarczającej zdolności produkcyjnej konkurentów, przeciw uposażeniom za synekury w imię dobra publicznego. Do rzadkich należą wyjątków, ale istnieją. Nie można ich jednak uważać za normę i w imię ich istnienia pozostawiać niewystarczającą organizację przemysłu.

W fazie koncernowej kapitalizmu funkcję kontroli prewencyjnej spełnia właściwie bank, któremu każdy z kierowników koncernowych przedsiębiorstw musi się spowiadać ze swych zamierzeń, aby uzyskać odpowiednie kredyty. Ale ta kontrola ma na celu dobro ogólne koncernu, nie dobro jeszcze ogólniejsze — gospodarki narodowej.

Kontrolę prewencyjną powinny sprawować jednostki, wzgl. ciała zbiorowe, materjalnie niezależne od kontrolowanych przedsiębiorstw, złożone z ludzi o szerokich horyzontach, o znajomości fachu i o ambicjach osobistych, leżących nie w płaszczyźnie osobistego majątku, a służby publicznej. Musi to być bractwo, które w gospodarce narodu widzi środek podniesienia jego stopy życiowej, a nie środek wzbogacenia jednostek.

Jeżeli naród ma takich ludzi — jeżeli potrafi ich ująć w karby bractwa, działającego w imię dobra ogółu, wówczas kontrola prewencyjna i interwencjonizm, choć dla wielu początkowo bolesne, mogą dać dla ogółu korzyść.

A jeżeli nie stać nas na zorganizowanie takiej kontroli, wówczas większość poczynań interwencyjnych ograniczy się do drogo okupionych doraźnych korzyści — bez trwałego skutku. Wówczas nie będziemy świadomie wchodzić w nowy ustrój gospodarczy, a będziemy weń wciągani chaotycznie, bezplanowo, a więc kosztowniej i z mniejszym efektem gospodarczym, aniżeli przy świadomem działaniu.

——o——

Nie wszędzie jednak kontrola prewencyjna da się zastosować.

Niema na nią miejsca w fazie indywidualnej przedsiębiorstw. Wszystko, co powiedziano w XIX wieku o błogosławionych skutkach inicjatywy prywatnej i prywatnej działalności gospodarczej, wszystko to, z czem walczą dzieci epoki wielkich koncernów, słusznem jest dla przemysłu fazy indywidualnej. Tam nie należy obciążać kierownictwa ciężkim aparatem kontroli, ani zbytnio reglamentować drogi, na którą popycha przemysłowca pragnienie zysku i zasada rentowności. Jeżeli państwo chce wpływać na przedsiębiorstwa tej fazy, to może to czynić jedynie pośrednio, — wpajając w świat gospodarczy poczucie służby publicznej, świadomość, że walka gospodarcza toczy się nie o doraźny zarobek, a o dobrobyt narodu, że każda firma jest gospodarczą placówką, a jej racją bytu jest pełnienie jakiejkolwiek, choćby najskromniejszej, funkcji. Tą drogą wychowawczą można na fazę indywidualną wpływać.

Ale w tej fazie kontrola prewencyjna nawet nie jest potrzebną. Automatyzm zjawisk gospodarczych działa tem sprawniej, im przedsiębiorstwa są mniejsze i więcej mają konkurentów. W tej fazie zresztą działa jeszcze sankcja zniżki stopy życiowej. Wystarcza więc działanie ogólne na całą grupę branżową, jak ochrona celna i t. p. Pewne bankructwa będą zresztą w tej fazie zjawiskiem stałem, nieszczęściem dla bankrutujących, ale nie dla gospodarki narodu.

Jeżeli natomiast po przejściu w fazę akcyjną, przedsiębiorstwo wyrasta z rąk rodziny, gdy rozdźwięk Dyrekcji i Rady staje się jawny, wówczas jest miejsce na organ, badający działalność firmy z punktu widzenia interesów ogółu. Taki sam organ potrzebny jest i w fazie koncernowej i w przedsiębiorstwach samorządowych i państwowych, choćby w tym celu, aby ukrócić pragnienie rozsadzenia zakreślonych początkowo ram ich działalności.

Kontrola prewencyjna jest konieczną tam i jedynie tam, gdzie automatyzm zjawisk gospodarczych nie działa, lub działa z wielkiem opóźnieniem. Ten twór, który wielu wydawać się będzie nienaturalnym, a z pewnością jest sztucznym, będzie początkowo funkcjonował źle. Omyłki, błędy nawet, będą przy wprowadzaniu tej idei w życie nieuniknione; nie należy się jednak tem zrażać, bo mamy właściwie przed sobą tylko dwie alternatywy: albo zastąpimy automatyzm, tam gdzie go brak, świadomą działalnością człowieka — która nigdy nie będzie tworem doskonałym, albo, pozostawiając rozwój gospodarczy swemu „naturalnemu" biegowi, będziemy świadkami marnowania pracy, zasobów, wysiłków w bezskutecznem szamotaniu się ze sprzecznościami dzisiejszego stanu gospodarczego świata.

———

Techniczne metody kontroli można zaczerpnąć żywcem z metod stosowanych przez międzynarodowe koncerny do nawpół samodzielnych organizmów filjalnych narodowych. Nie trzeba tu robić żadnych odkryć, ani wynalazków, skopjować trzeba jedynie sumiennie znane skądinąd wzory.

Czy organ kontroli ma być zorganizowany jako samodzielne przedsiębiorstwo, jako „Wirtschaftsprüfer" stosownie do wzorów obecnych niemieckich, czy jako organ Ministerstwa Gospodarki, względnie Przemysłu i Handlu tak, jak inicjatywa bankowa, lub ubezpieczeń są organem Ministerstwa Skarbu, czy też kontrola ta, jako dotycząca właściwie tylko wielkich przedsiębiorstw, powinna być organem banku emisyjnego, — to są rozwiązania zależne od struktury każdego poszczególnego narodowego gospodarstwa. Mam wrażenie, że dla Polski najodpowiedniejszem byłoby związanie jej z Bankiem Gospodarstwa Krajowego, jako tym organem, przez który Państwo Polskie najgłębiej daje się wciągać w niewypłacalności prywatne. Ten więc organ powinien być uzbrojony przeciw nieograniczonej chłonności wołających o ratunek placówek.

Kontrola prewencyjna inicjatywy nie ma jednakowoż tej inicjatywy powstrzymywać. Ma odrzucać z rozlicznych projektów te, które są najmniej wskazane ze względów ogólnych, ale musi dbać o to, aby kierownictwo nie zaprzestało dążyć do poprawy bytu i interesów powierzonego mu przedsiębiorstwa. W tej umiejętności pielenia złej inicjatywy bez tamowania wzrostu pożądanej leży cała trudność kontroli.

STEFAN MEYER

BEATUS ILLE

„Beatus ille qui procul negotiis". Te nieśmiertelne słowa nasunęły mi się na myśl przy czytaniu w rękopisie artykułu p. Augustyna.
Kontrola prewencyjna nie jest wynalazkiem nowym. W organie Prawicy Narodowej „Nasza Przyszłość" była ona wzmiankowana w listopadzie 1931 r jako konieczny sposób usunięcia obecnego zła. kiedy państwo dla ratowania poszczególnych placówek obciąża podatnika dotkliwie, a często bezskutecznie.
Myśl związania kontroli z B. G. K. jest właściwie tylko stwierdzeniem istniejącego stanu rzeczy.
Uwaga o technice kontroli jest słuszna i prowadzi do uzmysłowienia sobie, że kontrolę prowadzi właściwie ten, w czyim ręku jest dyspozycja.
Guglielmo Ferrero w szkicu pt. „l'Illusion de l'absolutisme" pisał w 1926 r.: „C'est une loi de la matière et de l'esprit que seulement ce qui resiste soutient, que toute limite est un appui, tout appui une limite".
Ta sama zasada. przetłomaczona na język rządów gospodarczych, brzmi: Każda kontrola ogranicza swobodę dyspozycji, a każde ograniczenie swobody dyspozycji wtedy dopiero jest efektywne. gdy podlega kontroli.
Kontrola narodowych przedsiębiorstw przez międzynarodowe koncerny oparta jest na tem, że dyspozycja należy w ostatniej instancji do właściciela zagranicą. Dyrekcje narodowe, poddane kontroli. mają zakres działania ograniczony i rozmaicie ograniczany.
Kontrola przedsiębiorstw przez organy „Kontroli prewencyjnej" państwowej, lub społecznej, przesunie ciężar dyspozycji na państwo, wzgl. odpowiednie organizacje społeczne
W imię jakich kryterjów, w imię jakich zasad mają być kontrolowane zamierzenia zarządów prywatnych? Na to zasadnicze pytanie p. Augustyn żadnej odpowiedzi nie daje. Ale ten, kto zorganizuje „bractwo kontrolerów", kto braci po przemyśle roześle, — ten musi im dać na drogę naukę, dogmat, który rozstrzygnie jakie zarządzenia, jakie inicjatywy są dopuszczalne, a jakie zdrożne. Tu już nawet hierarchja celów gospodarczych nie wystarcza: kontrola inicjatywy jest nierozłącznie związana z gospodarką bardziej „związaną", aniżeli programowa, albo interwencjonizm. Kontrola jest do pomyślenia tylko w ustroju tak związanym, że odpowiedzialność za całe życie, bezmała za pogodę, spada na instancję, której kontrola podlega. Mogłoby nią być centralne biuro planowe.
Nie są wykluczone formy pośrednie. Wspomniani przez p. Augustyna „Wirtschaftprüfer" mogą być brani pod uwagę i może ta forma najmniej obciąża państwo.
Ale nie chcę szukać norm dla nieistniejącego jeszcze ludzkiego działania wpośród zjawisk, które (i tu p. Augustyn ma rację) ja osobiście uważam za zjawiska przyrody, tak samo jak zjawiska etnograficzne i społeczne. Ograniczam mą rolę do obserwowania, jak się te związki i zależności rozwijają, pomny Horacjuszowskiej maksymy: „Beatus ille qui procul negotiis".

U W A G I

ODLEGŁOŚCI

Polska wśród narodów świata — oto temat, który należałoby wprowadzać do zadań maturalnych i ćwiczeń seminaryjnych. Polska pod względem gospodarczym, jej udział w bogactwie i dochodzie społecznym, jej „miejsce pod słońcem", a zatem wymiary tego miejsca. I nie chodzi tutaj o repetycje z geografji gospodarczej, t. zn. jakie mamy bogactwa naturalne, co i ile produkujemy i t. p., lecz o zdanie sobie sprawy z dynamiki rozwoju Polski w obliczu świata gospodarczego i z roli, jaką *obecna, powojenna* Polska odgrywa w obecnym, powojennym układzie stosunków ekonomicznych, panujących na kul. ziemskiej.
Bez pretensji do wyczerpania tematu, który wymaga szerokich i dokładnych studjów, przystępujemy poniżej do zarysowania kilku najbardziej charakterystycznych stron naszego organizmu gospodarczego, pojętego w relacji do państw starej Europy i do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Nie negujemy również, iż metoda, którą przyjęliśmy w niniejszym szkicu, jest metodą najwłaściwszą; sprowadzanie jednak do wspólnego mianownika, którym jest formułka: „na 1 mieszkańca", wydaje się nam o tyle korzystne, że daje pewien obraz porównania możliwości ludzkich oraz stosunku człowieka do świata zjawisk materjalnych, wytworzonych przez niego, warunki naturalne i — wpływ czasu. Co się zaś tyczy źródeł, skąd czerpiemy materjał cyfrowy, to w pierwszej linji wymienimy Rocznik i Miesięcznik Statystyczny Ligi Narodów (Genewa), z drugiej — „Statistisches Jahrbuch des Deutschen Reichs", w trzeciej zaś — „Wirtschaftliche Kräfte der Welt", wydawnictwo Dresdner Banku z 1930 r.
Zacznijmy od — dochodu społecznego, którego obliczenia są stosunkowo najbardziej płynne i łatwo mogą być kwestjonowane przez skrupulatnych ludzi nauki. Z wydawnictwa Dresdner Banku, opartego na danych rzadko urzędowych, najwięcej zaś prywatnych, wynikałoby, iż przeliczony na 1 mieszkańca dochód społeczny wynosił w latach 1926 — 1928:

w Stanach Zjednoczonych	741	dol.
w Anglji	373	„
w Holandji	358	„
w Szwajcarji	351	„
i t. d.		
w Estonji	96	„
w Łotwie	94	„
w Rumunji	94	„
w Jugosławji	82	„
w *Polsce*	76	„
w Litwie	72	„
w Bułgarji	61	„

Być może obliczenia te są zbyt niskie, zwłaszcza dla Polski, która znalazła się tutaj dosłownie na „szarym końcu", w grupie państw wschodnio - europejskich. Obawiać się atoli należy, że miejsce to nie będzie rezultatem złych wyliczeń, lecz poprostu szeregu innych faktów, które postaramy się poniżej częściowo zilustrować [1]).

Weźmy np. budżety państw, t. zn. wydatki budżetowe w 1928 wzgl. 1928/29 r. Okaże się wówczas, że gdy państwa podzielimy na 4 grupy (I — powyżej 48 dolarów na 1 mieszkańca, II — od 32 do 48 dol., III — od 16 do 32 dol. i IV — poniżej 16 dol., — przy założeniu, iż granicę stanowi przeciętna dla całej Europy 32 dol.), to Polska z przeciętną 10 dol. na jednego mieszkańca trafi do czwartej, najniższej grupy; znajdzie się tam w towarzystwie Bułgarji (10 dol.), Jugosławji (9), Łotwy (12), i Rumunji (12). Natomiast grupę I reprezentować będą: Anglja (88 dolarów), Danja (54), Irlandja (49), Holandja (47), Niemcy (44), Austrja (42), Francja (40), Finlandja (38), Belgja (37), Norwegja (36) i Szwecja (33).

Przejdźmy z kolei do zasobów złota w skarbcach banków emisyjnych. Tutaj rozpiętość jest jeszcze większa, gdyż na jednym krańcu mamy 39.6 dol. we Francji, a na drugim—0,1 dol. w Jugosławji i Portugalji. Polska ze swemi 2,6 dol. na 1 mieszkańca znajdowała się w 1929 r. w grupie najniższej (poniżej 3 dol.), do której wchodziły oprócz niej i 2 państw wspomnianych: Czechosłowacja (2.6 dol.), Łotwa (2.4), Finlandja (2.3), Litwa (1.5), Estonja (1,4), Grecja (1.3) i Bułgarja (0,2). Na przeciwległym biegunie (poza Francją): Stany Zjedn. (35 dol.), Szwajcarja (28.3), Holandja (22.9), Belgja (20.3) etc. Podobna dysproporcja zachodzi w dziedzinie wkładów w instytucjach oszczędnościowych. Z danych Ligi Narodów (niezbyt zresztą kompletnych) mogłoby wynikać, że Polska z 3 dol. oszczędności na 1 mieszkańca zajmowałaby nieledwie to samo miejsce, co Bułgarja, Grecja, Hiszpanja, Węgry (1 dol.), Jugosławja (3), Irlandja (8) i t. d., podczas gdy w Czechosłowacji przeciętna wynosiła w 1930 r. 39 dol. nie mówiąc o tem, że w Szwajcarji 96, Danii 164, a w Norwegji 172 dol.

I w dziedzinie obiegu banknotów mamy analogiczne stanowisko. Polska (5.8 dol.) należy do IV, ostatniej grupy (poniżej 10 dol. na jednego mieszkańca), razem z Bułgarją (4.5 dol.), Estonją (8,2), Jugosławją (7.5), Litwą (4,1), Łotwą (8.4) i Rumunją (7,2). O wysokości obrotów handlu zagranicznego (w przeliczeniu na 1 mieszkańca) i o związku pomiędzy tą wysokością a obiegiem banknotów mówić tutaj nie będziemy, gdyż odnośne cyfry i uwagi do nich znajdzie czytelnik w notatce p. t. „Dużo czy mało?", pomieszczonej w Nr. 12 „Gospodarki Narodowej" na str. 188 — 189.

Na zakończenie — mała dygresja w dziedzinę, *pozornie* mało związaną z ekonomiką: w statystykę komunikacji pocztowo - telegraficznej i telefonicznej. Okazuje się jednak, że i tutaj rozpiętość pomiędzy poszczególnemi państwami rzuca się w oczy. A mianowicie: na 1 mieszk. przypadało w 1929 roku listów:

Belgja	171
Szwajcarja	161
Francja	151
Anglja	147
Austrja	145
Holandja	139
i t. d.	
Estonja	44
Łotwa	41
Węgry	41
Hiszpanja	33
Polska	33
Jugosławja	32
Litwa	31
Finlandja	30
Bułgarja	24
Rumunja	24
Grecja	22

Na 1000 mieszkańców przypadało w 1929 r. telegramów (exempli modo):

Anglja	1.601
Szwajcarja	1.499
Belgja	1.479
Francja	1.262
Szwecja	1.099
Holandja	1.015
Włochy	909
Austrja	728
Niemcy	619
Czechosłowacja	560
Rumunja	460
Jugosławja	460
Polska	239

Na 100 mieszkańców przypadało w 1930 r. aparatów telefonicznych (exempli modo):

Stany Zjedn.	16.4
Danja	9.6
Szwecja	8.3
Norwegja	6.7
Szwajcarja	6.7
Niemcy	5.0
Anglja	4.1
Holandja	3.6
Austrja	3.3
Francja	2.5
Czechosłowacja	1.1
Włochy	0.9
Polska	*0.6*

Dla reasumcji weźmy jako skalę porównawczą kraje, do których chętnie lubimy nawiązywać: Francję i Węgry, oraz sąsiednią małą Litwę. Odnośne przeciętne dla tych państw przyjmiemy = 100, a wówczas dla Polski otrzymamy następujące wskaźniki:

	Francja	Węgry	Litwa
Dochód społeczny	33	74	104
Wydatki budżetowe	25	33	83
Złoto w bankach emis.	7	79	173
Wkłady oszczędnościowe	7	100	—
Obieg banknotów	9	37	141
Obroty handlu zagr.	20	49	78
Listy	22	80	107
Telegramy	19	41	—
Sieć telefoniczna	24	—	—

Z tak skąpego i jednostronnego materjału liczbowego, jaki przytoczyliśmy, trudno wyciągać wyraźne wnioski. Trudno coprawda również oprzeć się wrażeniu, iż w świetle przytoczonych liczb stanowisko gospodarcze Polski w dzisiejszym układzie realnych

[1]) W czasie pisania niniejszego nie był jeszcze znany artykuł dr. B. Dederki o polskim dochodzie społecznym i jego obciążeniu, drukowany w Nr. 2 „Kwartalnika Statystycznego" z roku bieżącego.

sił wydaje się jeszcze b. słabe. Nasza pozycja w ogólnym rachunku europejskim jest niewiele co lepsza od pozycji Litwy, a znacznie słabsza od pozycji Węgier. Są to wszakże państwa drobne, niemal niedostrzegalne na mapie Europy, słabo uprzemysłowione, Polska zaś jest w Europie (poza Rosją) państwem zkolei *piątem* tak co do obszaru, jak i pod względem ilości zaludnienia. Nasze przysłowiowe bogactwa naturalne być może nie są tak wielkie, jak się o nich mówi i pisze, ale napewno na tym odcinku zajmujemy w Europie wcale nieposlednie miejsce. Nasza produkcja rolna i przemysłowa, sieć naszych kolei, spożycie zbóż, bawełny i t. d. — wszystko to również każe przypuszczać, żeśmy nie ostatni. Natomiast z przytoczonych cyfr wynikałoby, iż pomiędzy wielkością obszaru i zaludnienia, masą kopalni, wrzecion czy sieci kolejowej, a gospodarką kapitałami sensu largo, rozwojem handlowym i t. p. panuje w Polsce poważna a nie zawsze doceniana *dysproporcja.*

Pamiętać o niej i znać jej rozmiary nie jest ani defetyzmem, ani fałszywą skromnością. Dokładna i rzetelna ocena perspektywy, ocena odległości zawsze sprzyja i nigdy nie szkodzi marszowi naprzód.

k. b.

WEWNĘTRZNY KREDYT EMISYJNY.

W dziedzinie polityki kredytowej od początku istnienia Państwa Polskiego do czasu obecnego była zaniedbana jedna z najbardziej ważnych akcyj, a mianowicie rozwój lokat wewnętrznych i opieka nad niemi. Długi szereg przykładów papierów wewnętrznych, emitowanych od 1918 r., a mianowicie 5% asygnaty z 1918 r., 5% długo- i krótkoterminowe pożyczki z 1920 r. (pożyczki Odrodzenia), „miljonówka", 8% złota z 1922 r., bony markowe z 1923 r. różnych seryj — świadczy o słabej nieskoordynowanej akcji w rozwoju kredytu wewnętrznego emisyjnego. Przeciętna wartość tych papierów wskutek dewaluacji i waloryzacji wynosi nie wyżej 4 do 2% początkowej ich wartości. Można śmiało twierdzić, że posiadacze tych walorów stracili cały prawie kapitał. Ani jedna z tych pożyczek nie zachowała rzędu swej wielkości początkowej. Podobny los tych papierów był i jest najsilniejszym argumentem, wstrzymującym od lokowania oszczędności w emisyjnych wewnętrznych papierach wartościowych.

Mimo przesilenia gospodarczego istnieje duża potrzeba dobrych lokat. Brak ich powoduje tezauryzację. Pozostają lokaty w bankach zagranicznych lub w polskich papierach emitowanych na rynkach zagranicznych. Według obliczeń Banku Polskiego istnieje w chwili obecnej około 50 miljonów dolarów stezauryzowanych. Według opinji Giełdy Warszawskiej liczbę tę należy podwoić. W ciągu ostatniego półrocza sprowadzono na rynek prywatny złota w ilości około 10 miljonów dolarów, które również przechowywane jest w domach. Wskutek podniesienia się rentowności polskich pożyczek zagranicznych ulokowano w przeciągu lutego i marca roku bieżącego około jednego miljona dolarów w pożyczkach stabilizacyjnej, dillonowskiej, śląskiej i warszawskiej, co z punktu widzenia bilansu płatniczego jest szkodliwe.

Uciekanie się do kupowania polskich pożyczek zagranicznych nie tłumaczy się wielką ich rentownością, ale przedewszystkiem zabezpieczeniem: dzielenie się ryzykiem z obywatelami amerykańskimi, którzy posiadają silne sankcje, zabezpieczające ich kapitał, jest atrakcyjne.

Elementarnemi warunkami powodzenia subskrypcji pożyczki wewnętrznej jest poza rentownością i pewnością amortyzacji jeszcze i dobra tradycja wywiązywania się z podobnych poprzednich operacyj. Treść ustępu 1-go wskazuje, że tradycji takiej w Polsce niema, dlatego też w celu odbudowania najważniejszego źródła kredytu, jakim jest kredyt wewnętrzny, należy stworzyć podstawy tak, aby w sposób automatyczny i mocno zawarowany mógł on zyskać cechy trwałej pewności, co z czasem stworzyłoby wyżej wspomnianą tradycję i wychowało społeczeństwo do lokat wewnętrznych.

Waga stworzenia podstaw kredytu wewnętrznego polega na tem, że i kapitał zagraniczny interesuje się mocno stanem lokat wewnętrznych. Dobry kurs papieru wewnętrznego jest elementem do wliczenia oprocentowania rzeczywistego pożyczki zagranicznej.

Celem niniejszego artykuliku jest zaproponowanie instytucji, którąby rolę taką mogła odegrać. Instytucja taka znana jest we Francji, — jest to Caisse d'Amortissement. Rola jej przy stabilizacji franka w 1926 r. jest dostatecznie znana. Wysoki zaś kurs jej bonów przy niskiem oprocentowaniu jest miarą pokupności tych bonów. Podstawowemi cechami organizacji tej instytucji są:

1) autonomiczne władze o ściśle określonych kompetencjach, przewidzianych w regulaminie, których podstawowym celem jest obsługa bonów, emitowanych przez tę kasę; 2) oparcie wpływów kasowych tej instytucji na dochodzie z monopolu tytoniowego. Wprowadzenie podobnej instytucji miałoby jako zewnętrzny rezultat skreślenie obsługi pożyczek wewnętrznych po stronie rozchodu.

Obie te pozycje można dobrać tak, aby obie sumy różniły się mało lub wcale. Nie narusza więc to zasady równowagi budżetu. Odseparowanie obsługi pożyczek wewnętrznych od ogólnego budżetu i wyposażenie posiadaczy tych pożyczek w majątek, jakim są wpływy z monopolu, podnosi moment opieki nad kapitałem wewnętrznym, czego dotychczas nigdy nie było. W celu stopniowego wychowywania zaufania należałoby rozpocząć od emisji bonów krótkoterminowych trzymiesięcznych, 6-miesięcznych, wreszcie rocznych.

Oprocentowanie nominalne tych bonów winno być niskie, gdyż mocna gwarancja zastępuje wysokie oprocentowanie i premje, nadaje papierowi wartość dla gustu tych kapitalistów, którzy przedewszystkiem poszukują pewnej lokaty. Okresy przesilenia gospodarczego sprzyjają powiększeniu właśnie tego typu kapitalistów, którzy podejrzliwie odnoszą się do wysokich oprocentowań i premij.

Wybór monopolu czy dochodu jest prawie dowolny, nie mógłby wchodzić w Polsce obecnie monopol tytoniowy i zapałczany. Wydaje się najpraktyczniejszym t. zw. podatek konsumpcyjny od nafty, który w ostatnich latach przynosił około 30 miljonów zł. czystego dochodu. Przyjmując stopę 5 na oprocentowanie tych bonów i biorąc pod uwagę, że w miarę wygasania emisyj tych bonów powstawałyby nowe, można przyjąć, iż termin całości operacji (sumy wszystkich emisyj) jest bardzo duży. Teoretycznie nieskończenie długi. Annuita 30-miljonowa przy 5% i terminie nieograniczonym może obsługiwać za-

dłużenie, wynoszące 600 miljonów. Ta suma jest maksymalną, jaką wszystkie emisje bonów w danym momencie czasu mogą wynosić. Odpowiednie podniesienie stałego dochodu rocznego podnosi również i tę sumę maksymalną. Wobec ściśle oznaczonych terminów wykupu bonów nie istnieje tu element ryzyka (losowy). Zbyteczny więc jest tu jakikolwiek kapitał rezerwowy, który zawsze musi występować np. w ubezpieczeniach.

Instytucja Kasy Amortyzacyjnej musi być, podobnie jak Bank Polski, wyposażona we władze autonomiczne, zabezpieczające przed ingerencją czynników rządowych na politykę tej kasy. Jest to warunek bardzo istotny. W regulaminie natomiast, który ściśle wyznacza bardzo wąskie z natury rzeczy kompetencje władz tej kasy, winny być wstawione elementy zabepieczające rządowi korzystanie z uzyskanych kredytów wewnętrznych. Przestudjowanie organizacji Caisse d'Amortissement i zaznajomienie się z praktyką jej działalności dałoby najlepsze wskazówki dla stworzenia dostosowanych do potrzeb Polski form organizacyjnych tej instytucji.

a. g.

SIŁY I ZAMIARY.

Tam, gdzie przed 12-ma laty leżała cicha wioska rybacka, dziś rozpościera się wielki port, przez który w r. ub. przeszło (w obie strony) 5.300.000 tonn. Jeszcze lat kilka, a jedyny w dziejach Polski własny port morski prześcignie Bremę, Genuę i inne, nie mówiąc o Gdańsku.

Zachodzi jednak obawa, że do tego czasu może zbankrutować — miasto, noszące to samo, co port, miano; miasto, wyrosłe w cieniu olbrzymiego, jak na polskie stosunki, portu, stworzone dosłownie z niczego (bo trudno brać pod uwagę owe kilkadziesiąt „checz", rozsianych wśród piasków), wystrzelające dzisiaj wieżycami (toute proportion gardée...) „drapaczy nieba", posiadające wielki dworzec, filje największych w kraju banków, wspaniałe gmachy użyteczności publicznej, doskonale brukowane ulice, jakichby pozazdrościły nowoczesne peryferje stolicy, dobrą komunikację autobusową i t. d., i t. d.

Port i jego bezpośredni „hinterland" zbudowano w tempie iście amerykańskiem. Być może, iż posiadacze zapiaszczonych parcel zrobili „złoty interes", tak, jak pierwotni właściciele gruntów, na których dziś wznoszą się Nowy York, Chicago i in. Napewno jednak gmina takich interesów nie zrobiła. Zresztą nie jest ona wyjątkiem: poza b. dzielnicą pruską niema w Polsce miast, które byłyby bogate. Są to dziady, którym się każe grać rolę panów...

Zdawałoby się jednak, że gdzie jak gdzie i kiedy jak kiedy, ale właśnie w tymże samym b. zaborze pruskim, w nowej, niepodległej Polsce, gdy na samorządzie nie spoczywa ordynarna łapa rosyjskiego czy austryjackiego gubernatora, miasta uzyskają pełnię tchu w piersiach i będą mogły żyć tak, jak żyją nowoczesne miasta na Zachodzie, dokąd wozi się cudzoziemców. I w naszem nadmorskiem, 40-sto tysiącznem mieście autokary wycieczkowe mogłyby być przepełnione, gdyby istotnie miasto nie było tylko pojęciem geograficzno-administracyjnem, lecz organizmem, zdolnym do życia.

O ile budowa portu jest naprawdę naszą narodową chlubą, tem więcej, że dokonał jej zorganizowany wysiłek całego społeczeństwa pod kierownictwem władz rządowych, o tyle tworzenie miasta (bez którego port traci połowę racji bytu) odbywało się wprost nieudolnie. Wszakże dopiero przed rokiem miasto zostało wyodrębnione z powiatu, i wyszło z pod opieki (raczej szkodliwej) władz II instancji, wszakże dopiero od niedawna stworzono dlań prawne podstawy samodzielnej egzystencji, aczkolwiek uczyniono niesłychanie mało, aby tę egzystencję finansowo podtrzymać i umożliwić.

Bo czyż jest rzeczą możliwą budowa miasta na ...weksle? Czyż można dopuścić, aby poważna część inwestycyj dokonywała się przypomocy kredytu krótkoterminowego? Jak można żądać od miasta, aby miało nowoczesne bruki, kanalizację, wodociągi, oświetlenie gazowe i elektryczne, komunikacje, szkoły i Bóg wie co jeszcze, słowem, żeby dorównało portowi, kiedy miastu temu oddano do dyspozycji zaledwie kilka miljonów kredytu długoterminowego! Jak można się dziwić, że miasto zabudowuje się w sposób dziki, bezładny, kiedy władające terenami (absolutnie im zbędnemi) ministerstwa nie mogą się zdobyć na odstąpienie tych terenów miastu!

Miasto powinno być wzięte na budżet państwa. Tu nie chodzi o subwencję dla jakiejś prowincjonalnej dziury, ani o ratowanie bankrutującej firmy. Tu wogóle nie chodzi o subwencję jako taką. Punkt ciężkości problemu leży w zrozumieniu, że gdy gdzieindziej miasta portowe urastały stuleciami, u nas każe mu się rosnąć z dnia na dzień: z niczego. Mickiewiczowska zasada: mierz siły na zamiary, sprowadzająca się w praktyce do łataniny i tymczasowych kredytów paromiesięcznych czy paroletnich, musi ustąpić miejsca zasadzie odwrotnej, która w praktyce będzie oznaczała, że zarówno port, jak i miasto, wymagają poprzez *budżet i kredyt długoterminowy* zbiorowego wysiłku i ofiar materjalnych całego społeczeństwa.

k. b.

DURA LEX SED LEX.

Wprowadzone przed paroma tygodniami zarządzeniem Ministra Skarbu zaostrzenie kar za przestępstwa na szkodę Polskiego Monopolu Tytoniowego wywołało gdzieniegdzie w prasie głosy zdziwienia, a nawet uburzenia. Krytycy dopatrują się we wspomnianem zarządzeniu ducha zbytniego fiskalizmu i twierdzą, że zawarte w nim kary potraktowane zostały zbyt rygorystycznie.

Mówiąc o zakresie i wysokości kar za przekroczenie, czy występki przeciwko monopolom państwowym, należy mieć na względzie dwa momenty zasadnicze. Po pierwsze — te czy inne kary wynikają bezpośrednio z ustawy karnej skarbowej, znowelizowanej niedawno przez Sejm, gdzie postawiony został całokształt spraw, związanych z działalnością na niekorzyść Skarbu Państwa. Po drugie — a to odnosi się w szczególności do wykroczeń na niekorzyść Polskiego Monopolu Tytoniowego — dotychczasowy wymiar sprawiedliwości pozostawiał dużo do życzenia, gdyż był nader iluzoryczny. Jakiż wpływ mogła bowiem odegrać kara za nielegalną uprawę tytoniu, jeżeli wynosiła ona tyle, ile kosztował sprzedany nielegalnie tytoń? Przecież w najgorszym razie sprzedawca ryzykował jedynie utratę uzyskanej ze sprzedaży kwoty.

Nowe przepisy karne są istotnie surowe, ale tylko takie mogą odegrać rolę, jaką im powierzono. Są one

zresztą naturalną konsekwencją zasadniczych wytycznych obowiązujących ustaw o monopolu państwowym, rozciągającym się — jeżeli chodzi o Polski Monopol Tytoniowy — na kupno i sprzedaż surowca, półfabrykatu i wyrobów gotowych. To, że do niedawna patrzano przez palce na omijanie czy niedość skrupulatne przestrzeganie tych zasad, a obecnie nastąpiło całkowite podporządkowanie się ustawom, wywołuje krytykę, nie mogącą się połapać w tak radykalnem a słusznem przestawieniu polityki sankcyj karnych.

Niewątpliwie na skrupulatnem stosowaniu tych ostatnich ucierpi szereg osób, które żyły z „niedozwolonego wytwarzania wyrobów tytoniowych". Ci wszyscy, których za wyrób papierosów spotkać może kara 1.000 zł., areszt od tygodnia do 6 miesięcy i konfiskata towaru[1]), to emeryci, drobni urzędnicy, pachciarze i t. p., utrzymujący się z domowego wyrobu papierosów lub wyrobem tym (cieszącym się zresztą dużem, zwłaszcza na wsi, powodzeniem), uzupełniający szczupłe dochody. Z punktu widzenia celowości i konsekwencji ustawy i konstrukcji monopolu robienie dla nich wyjątku nie może być uzasadnione, tem więcej, że za przestępstwa przemytu, fałszowania i t. p. wyrobów tytoniowych oraz nieuprawnionej hodowli tytoniu przewidziane zostało znaczne zaostrzenie sankcyj karnych.

b. s.

[1]) Nowe przepisy przewidują również, iż „winni nabywania wyrobów tytoniowych, pochodzących z prywatnej fabrykacji", ulegną karze grzywny w wysokości 1.000 zł.

SKURCZONE DOCHODY

Nie jest naszym zamiarem popularyzacja wyników badań statystycznych, dokonywanych przez powołane do tego instytucje badawcze i ich współpracowników. Celowi temu służą wydawnictwa perjodyczne, w których czytelnik znajdzie obok cyfr, suchych, ułożonych tabelarycznie, również wyjaśnienia i komentarze, rzadziej uwagi ogólnoekonomiczne.

Jeżeli jednak w niniejszej notatce nawiązujemy do jednego z takich wydawnictw („Statystyka Pracy" rocznik XI zeszyt 2 z 1932 r.—przyczynki E. Arnekkera i L. Landaua), to uczynimy to w zamiarze zwrócenia specjalnej uwagi czytelnika, nie mówiąc o publicystach, na zagadnienia, łączące się bezpośrednio z rynkiem pracy, pośrednio zaś z problemem *dochodu społecznego*. Nie będąc w stanie (ze względów technicznych) omówić wszystkich spostrzeżeń cytowanych autorów i wniosków, jakie nasuwają się przy czytaniu ich tablic i komentarzy, ograniczymy się tylko do kilku najbardziej, naszem zdaniem, charakterystycznych momentów.

Zwracamy przedewszystkiem uwagę na fakt, o którym się rzadko pamięta, że stan zatrudnienia podlega w Polsce bardzo poważnym wahaniom tak sezonowym jak i natury konjunkturalnej. P. Arnekker dochodzi do wniosku, że rozpiętość wahań w stanie zatrudnienia sięgała w 1929 r. 30,3%, w roku zaś 1930 — 28% stanu maksymalnego. W liczbach bezwzględnych oznacza to, że w 1929 r. 256,5 tys., a w 1930 r. 230,8 tys. robotników bądź całkowicie utraciło pracę, bądź znajdowało ją tylko na krótki przeciąg czasu (jaki, bliżej niewiadomo).

Dalej — suma wypłat robotnikom (netto po dokonaniu wszelkich potrąceń) wynosiła w 1930 r. w zbadanych przez p. Arnekkera 11,129 zakładach 690 milj. zł. W stosunku do tych przemysłów, które autor zbadał szczegółowo, spadek zarobków w porównaniu z rokiem poprzednim wynosi ok. 82 miljony zł. Na jednego robotnika spadek ten równa się 16 zł. miesięcznie czyli 9% zarobku z 1929 r.

Jeden robotnik zpośród 424-o tysięcznej masy robotniczej, zatrudnionej przeciętnie miesięcznie, pobierał w 1930 r. 161 zł. „do ręki". Jest to średnia teoretyczna, skoro robotnik w stalowni lub walcowni otrzymywał 223 zł. (maximum) a zatrudniony przy wyrobach koszykarskich (de facto — chałupnik) 74 zł. miesięcznie (minimum).

Jakie jest minimum egzystencji, na to nie odpowie ani Główny Urząd Statystyczny, ani Instytut Gospodarstwa Społecznego, chociaż obie te instytucje prowadzą badania budżetów rodzinnych. Gdybyśmy przyjęli 150 zł. miesięcznie, okazałoby się, że poniżej tego minimum zarabiało w 1930 r. 77% robotników; przyjmując minimum = 100 zł., otrzymamamy 11%.

Charakterystycznym dla polskich stosunków — i bynajmniej nie zachęcającym dla młodego pokolenia, kształcącego się zawodowo — jest fakt, że w grupie zarobków do 150 zł. miesięcznie znajdują się obok przemysłów napoły chałupniczych przemysły czysto fabryczne, a obok branż, posługujących się głównie robotnikiem niewykwalifikowanym, również branże, gdzie robotnik kwalifikowany jest niezbędnie potrzebny. Należy tutaj produkcja: porcelany, fajansu i wyrobów kamionkowych, maszyn i narzędzi rolniczych, dla przemysłu spożywczego, włókienniczych, odzieżowych i in., wyrobów ślusarskich i blacharskich, hut szklanych, przędzy i tkanin, mechaniczna obuwia, odlewni, samochodów, motocykli i rowerów (tak!), wag i narzędzi mierniczych etc.

Tak wygląda sytuacja typowego robotnika, ujęta statystycznie. A jak się kształtuje ona w stosunku do klasy robotniczej, wziętej jako całość? Na to pytanie odpowiada p. Landau, przeliczając za szereg lat (1925 — 1931) nominalne i realne płace robotnicze oraz stan zatrudnienia. Z jego obliczeń wynika, że chociaż wskaźnik płac realnych (rok 1927 = 100) ze 102,1 (styczeń 1925 r.) podniósł się do 134.3 (styczeń 1932 r.), to jednocześnie wskaźnik zatrudnienia obniżył się z 95,1 n a 56,8. Mnożąc wartości wskaźnika pierwszego przez wskaźnik drugi, autor dochodzi do wniosków, z których fragment przytaczamy:

Miesiąc i rok	Wskaźnik wartości realnej wypłat (1927 = 10)
I 1925	97,1
I 1926	63,9
I 1927	90.8
I 1928	116.2
I 1929	136.8
I 1930	126.4
I 1931	106,9
I 1932	76.3

Wskaźnik ten — dodaje autor — jest „bezpośrednio. . wyrazem zmian w sile nabywczej, jaką rozporządza

ludność, żyjąca z pracy w przemyśle, jako całość", wyrazem wahań wartości zarobków ogółu ludności robotniczej, zatrudnionej w przemyśle. Biorąc pod uwagę roczne wskaźniki realnej wartości wypłat. otrzymujemy, że realny dochód klasy robotniczej (ogółem robotników przemysłowych) obniżył się w 1931 r. w porównaniu z 1929 r. (gdy dochód ten wykazywał swe optimum) o 24%.

Jeżelibyśmy analogiczne badania mieli przeprowadzone dla rolnictwa [1]), przemysłu, handlu i pracowników umysłowych, moglibyśmy się zorjentować w całokształcie strat, jakie społeczeństwo ponosi z powodu depresji gospodarczej, traktowanej niekiedy bądź jako kara za grzechy, bądź jako chwilowe pogorszenie „prosperity".

s.

[1]) Z badań Państwowego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach wynika, że od 1927/28 r. (który był dla rolnictwa najlepszym rokiem) do r. 1929/30 dochód brutto na 1 ha mniejszych gospodarstw rolnych spadł z 610 na 499 zł. czyli o 18%, a dochód netto z 210 na 104 zł., t. zn. o 50%. W tym samym okresie (dodajmy nawiasem) wartość realna dochodów robotników przemysłowych podniosła się jeszcze o 7%; tem raptowniejszy musiał być jej spadek po r. 1929.

KAZIMIERZ BRODNICKI

REWIZJONIZM

Pod wpływem długotrwałego kryzysu ujawniają się niedomagania strukturalne naszej dotychczasowej polityki gospodarczej.

Złe czasy zawsze wpływają na wzrost krytycyzmu w stosunku do faktów, jakie miały miejsce poprzednio. Siłą kontrastu to, co przedtem uchodziło za wzór, za chlubę, teraz traktowane jest obojętnie lub wręcz wrogo, zjadliwie, ironicznie. Jednocześnie następuje wyrzekanie się „zdobyczy", osiągniętych w „złotym wieku", umywa się ręce od tego, co się obecnie uważa za przyczynę nieszczęść i nie przyjmuje odpowiedzialności za przesłanki, któremi kierowano się przy tworzeniu dzisiaj potępionych faktów. Jeżeli zaś reakcja psychiczna nie jest tak żywa, a raczej tak desperacka, przeradza się ona — i słusznie — w zjawisko, które nazwalibyśmy *rewizjonizmem*. Poddajemy rewizji nasz światopogląd, nasz stosunek do spraw i rzeczy, do faktów, do ich oceny i rezultatów, do zamierzeń i nadziei, z niemi związanej. Usiłujemy ziarno oczyszcić od plew, jakie się tam dostały skutkiem dotychczasowego niedopatrzenia, a jednocześnie z błędów przeszłości zamierzamy wyciągnąć *pozytywne* wnioski na przyszłość.

Jedną z dziedzin, na którą się przedewszystkiem w Polsce rzucono, ze skalpelem krytycyzmu i rewizjonizmu, jest dziedzina pojęć o gospodarczych bogactwach i możliwościach naszego kraju. O jednych i drugich mieliśmy przesadne wyobrażenie. Dawaliśmy się sugestjonować tym wszystkim, którzy z faktu, że Polska eksportuje ziemiopłody i płody kopalniane, wyciągali wniosek, że surowców tych mamy niewyczerpany nadmiar i że możemy na nich bazować naszą teraźniejszość i przyszłość gospodarczą. Dzisiaj już tę naiwną wiarę sami podajemy w wątpliwość; świadczą o tem zgodnie — chociaż cytuję tylko to, co mi wpadło w rękę — zarówno artykulik, umieszczony w Nr. 2 „Gospodarki Narodowej" z r. b. („Cui bono"), jak i książka R. Rybarskiego „Przyszłość gospodarcza świata".

Nie chodzi zresztą o same surowce. Podobnie przedstawia się sprawa zarówno z produkcją wyrobów fabrycznych lub prądu elektrycznego, jak i z konsumcją artykułów pierwszej potrzeby. Analogicznie jest w zakresie zagadnień pieniężnych, handlowych etc. Cóż z tego, że jesteśmy piątem co do ilości mieszkańców krajem w Europie, kiedy nasz udział w handlu światowym wynosi około 1% i tylko minimalnie przewyższa obroty handlu zagranicznego 3-miljonowej Irlandji. Nasz obieg pieniężny jest niewielki, zadłużenie wobec zagranicy — tak publiczne, jak i prywatne — nieznaczne, kapitały zakładowe wszystkich naszych spółek akcyjnych odpowiadają kapitałowi zakładowemu kilku największych banków amerykańskich, a za akcje jednego z trustów amerykańskich możnaby wykupić akcje wszystkich polskich placówek przemysłu fabrycznego.

W życiu państw i narodów wymierzalne wartości materjalne, t. zn. ich majątek, ich dochód, ich perspektywy etc. nie zawsze są czynnikiem decydującym. Poza niemi i ponad niemi istnieją t. zw. imponderabilja, wśród których energja, pracowitość, wytrzymałość, organizacja siły zbrojnej, poziom kultury i oświaty, spoistość wewnętrzna społeczeństwa, jego patrjotyzm i t. d. i t. d. zajmują bezsprzecznie pierwsze miejsca. Tem niemniej trudno lekceważyć rolę elementów wymierzalnych, zwłaszcza, gdy się na nich buduje przesłanki dla wytycznych polityki gospodarczej, socjalnej i t. p. Dokładne uświadomienie warunków, w jakich żyjemy, zdanie sobie sprawy z realnego zasięgu naszych możliwości, należyte zorjentowanie się w strukturze i niedomaganiach ustrojowych naszego organizmu gospodarczego — wszystko to pozwoliłoby nam zaoszczędzić wielu przykrych złudzeń i rozczarowań.

Rewizjonizm, będący sui generis reakcją na dotychczasowe nasze błędne (jak sądzimy) posunięcia, atakuje szczególnie zawzięcie ustosunkowanie się kapitalizacji do konsumcji i produkcji. Coraz to silniej akcentuje się w prasie, publicystyce i przemówieniach, że dotychczas żyliśmy nad stan. Twierdzenie takie, wzięte dosłownie, zakrawa na przykrą i niesmaczną nawet ironję. Przecież niski-e zarobki większości robotników w okresie ożywienia, przecież słaba rentowność gospodarstwa chłopskiego, przecież niesłychanie niska siła nabywcza wschodnich połaci kraju nie były i nie są płodem wyobraźni zgryźliwych krytyków! Tem gorzej dla pozostałych grup społecznych, tem gorzej dla całokształtu zjawiska, skoro końcowy efekt uznany został za wybitnie ujemny i wręcz niebezpieczny.

Sięgnijmy do dowodów. Jeżeli zestawimy sumy, wy-

datkowane na import konsumcyjny sensu largo[1]) oraz sumy, wywiezione przez naszych turystów zagranicę, z sumami, które skapitalizowaliśmy bądź dobrowolnie (przyrost netto wkładów w instytucjach pieniężno - kredytowych oraz gotówkowe emisje kapitałów akcyjnych), bądź przymusowo (składki na rzecz instytucyj społecznych), to dla okresu dobrej konjunktury (1926 — 1929) otrzymamy następujące zestawienie (w miljonach złotych):

ROK	Import	Wyd. turystów	Przyr. w ładów	Emisje	Składki do ubezp. społ.	Składki do ubezp. inn.
1926	1.115	77	600	29	238	137
1927	2.044	122	682	179	318	168
1928	2.297	169	610	163	426	218
1929	1.984	165	236	126	470	272
Razem	7.440	533	2.128	497	1 452	795

Dwie pierwsze pozycje — to konsumcja cztery następne, — to kapitalizacja; konsumcja wynosiła 7.973 milj. zł., kapitalizacja zaś tylko 4.872 milj. zł. czyli 60% wydatków na konsumcję. W r. 1930 niewątpliwie nastąpiło przesunięcie na korzyść kapitalizacji, tem niemniej układ tych dwóch elementów nie był jeszcze korzystny, świadcząc, że żyliśmy „nad stan".

W związku z tem zadajemy sobie również pytanie, czy nasza polityka inwestycyjna była słuszna i celowa. Mamy bowiem wątpliwość, czy istotnie należało zaciągać drogie, a przytem krótko- i średnioterminowe kredyty zagraniczne, bądź też posilkować się kredytem krajowym, jednak niedostatecznie silnym, aby finansować inwestycje, skądinąd gospodarczo uzasadnione. Zachodzi nawet obawa (a podzielamy ją narówni z ekonomistami innych państw), że gospodarka nasza się przeinwestowała, zamrażając kapitały i tworząc podstawy do nadprodukcji z jej wszystkiemi, tak dobrze znanemi skutkami.

A cóż dopiero mówić o inwestycjach nieprodukcyjnych? Nie możemy twierdzić, jak Niemcy, żeśmy za dużo wsadzili w budowę domów mieszkalnych, gdyż zjawisko nadmiaru mieszkań jest jeszcze na szereg lat w Polsce nie do pomyślenia. Mamy natomiast powody wątpić, czy owe ½ miljarda zł., które przeszły na ten cel przez B. G. K., zostały zużyte w sposób ekonomicznie zdrowy i pożyteczny. Zarówno na tym odcinku, jak i na odcinku budowy gmachów publicznych i szkół skłonni jesteśmy dopatrywać się szeregu przejaskrawień, nie odpowiadających ani naszym potrzebom, ani warunkom socjalnym i gospodarczym, ani też wymaganiom oszczędnej i racjonalnej gospodarki groszem publicznym. Zrobiliśmy tutaj stosunkowo zbyt wiele na pokaz, jakgdyby ci, których te „wyczyny" miały przekonać co do naszych możliwości, nie orjentowali się w ich treści istotnej.

Zbudziła się również reakcja przeciwko działalności karteli i trustów, jako też przeciwko zbytniemu dopływowi kapitałów zagranicznych, które są często i nadmiernie kosztowne i zanadto agresywne. Sztywność cen, regulowana przez prywatnych monopolistów, była tolerowana, a nawet uznawana za dowód postępu, tylko do pewnego czasu; obecnie—skutkiem jaskrawej dysharmonji z kształtowaniem się cen wolnego rynku — sztywność tę traktuje się jako przeszkodę do wyjścia z kryzysu. Na tle niezorganizowanego rolnictwa, drobnego handlu i rzemiosła, które w Polsce grają większą rolę, niż gdzieindziej, kartele wielko-przemysłowe, nadmiernie rozbudowane robią na niektórych wrażenie przysłowiowego „kwiatka przy kożuchu".

Ciekawa jest w związku z tem ewolucja poglądów na rolę maszyny i koncentracji kapitałowej. Maszynizm znajduje z każdym dniem coraz to więcej nieprzyjaciół, którzy również przeciwstawiają się wybujałym — jak twierdzą — formom kapitalizmu przemysłowego. Na tle tej reakcji psychicznej można jednak zaobserwować zjawisko głębsze i bardziej istotne: renesans wiary w drobnego producenta. Ma to swoje uzasadnienie w faktach ostatniej doby: chałupnik, którego koszty produkcji są względnie niewielkie, a potrzeby konsumcyjne niewiarogodnie niskie, bije na głowę fabrykanta, zatrudniającego kilkudziesięciu czy kilkuset robotników, którzy nie zadawalają się byle jakim zarobkiem (chociaż i tak mało zarabiają), od których płacić należy składki ubezpieczeniowe etc. Przy powszechnem obniżeniu się skali wymagań spożywcy tandeta chałupnika zyskuje przewagę nad lepszym, lecz droższym towarem fabrycznym. I gdy maszyna nie może zejść poniżej pewnego minimum kosztów jej obsługi, to nigdy nie wiadomo, gdzie się znajduje *ludzkie* minimum egzystencji.

Zjawisko to jest niebezpieczne i groźne. Zarazem podkopuje się ono pod nasze ustawodawstwo socjalne, które było zbudowane na dochodach i potrzebach robotnika, zarabiającego min. ok. 150 zł. miesięcznie, innemi słowy — robotnika wielko-przemysłowego, jaki do niedawna stanowił większość załóg pracowniczych w *przemyśle*. Dzisiaj na widowni ukazał się rzemieślnik zamiast fabrykanta, chałupnik zamiast robotnika, a o chałupniku ustawodawca w zasadzie nie pomyślał, bo go naogół nie dostrzegał. Inspektor Pracy, który całą swą energję zużytkowywał dotąd na zdobywanie dla proletarjatu fabrycznego urządzeń, chroniących robotnika od nieszczęśliwych wypadków, związanych z działalnością maszyny, stanie bezradny wobec straszliwej nędzy i fatalnych warunków higjenicznych w ciasnej chałupie wyrobnika, pracującego 16 godzin na dobę z całą rodziną w sposób, który nie grozi okaleczeniem rąk, lecz zagraża, powiedzmy, oczom, płucom i t. p. W tym stanie rzeczy rewizjonizm pod adresem dotychczasowej struktury ustawodawstwa socjalnego nie jest częściowo pozbawiony racji, domagając się dostosowania zamierzeń, jak najbardziej szlachetnych do realnych warunków polskiego życia, tem więcej, że koszty scentralizowanego aparatu ubezpieczeń społecznych są zbyt wielkie w porównaniu i ze świadczeniami i z cenami innych wartości gospodarczych.

Tendencje rewizjonistyczne obserwujemy nakoniec na odcinku działalności państwa. Ciężar danin publicznych, aczkolwiek daleki od obciążenia podatkowego państw innych, odczuwany jest zbytnio dotkliwie, a jednocześnie wpływy z tych danin maleją w zatrważająco szybkiem tempie. Rodzi się wobec tego pytanie, czy wskazane jest upieranie się przy do-

---

[1]) Produkty spożywcze, zwierzęta i produkty zwierzęce, materjały i wyroby drzewne, rośliny i ich części, materjały budowlane, wyroby szklane, gumelastyka, różne przetwory chemiczne, wyroby zegarmistrzowskie, instrumenty muzyczne, broń i amunicja, środki komunikacyjne, papier i wyr. z papieru, książki, pisma i obrazy, materjały i wyr. włókiennicze, odzież i konfekcja, galanterja oraz instrumenty, przybory szkolne i t. p.

tychczasowych zasadach gospodarki budżetowej, tolerującej szereg nieproduktywnych wydatków, uskuteczniających pod wieloma pozorami. Nie mając pieniędzy na budowę dróg, domów i kanałów, utrzymujemy jeszcze zbyt wielką armję urzędników resortu b. Ministerstwa Robót Publicznych; podtrzymujemy przedsiębiorstwa zbankrutowane, bojąc się o dalsze bankructwa, których i tak uniknąć nie sposób; dublujemy szereg czynności i obarczamy władze III instancji funkcjami, niejednokrotnie zbędnemi, które powinny spełniać niższe instancje lub samorząd terytorjalny czy gospodarczy.

Słowem — rewizjonizm wypowiada się przeciwko „życiu nad stan", robocie „na wyrost"; potępia nie branie pod uwagę zasady: „wedle stawu grobla": domaga się zejścia o jeden stopień niżej i o rezygnację z ambitnych, lecz nieprodukcyjnych lub zanadto kosztownych zamierzeń; twierdzi, że poziom gospodarczy świata — a więc nietylko Polski — już się obniżył i to w sposób tak wyraźny, że niema mowy, abyśmy rychło wrócili do stanu pierwotnego. Rewizjonizm wyciąga stąd wniosek o konieczności *przystosowania się* gospodarstwa narodowego do „faits accomplies" względnie o konieczności wzajemnego *wyrównania się* poszczególnych elementów tegoż gospodarstwa. Na szczęście obserwujemy już pocieszające objawy zrozumienia sytuacji. Tak np. warstwy rolnicze przystosowały już w znacznym stopniu swą konsumcję i swój system finansowo-handlowy do wymagań kryzysu. Ich osobiste potrzeby i wymagania uległy wielkiej redukcji i podporządkowaniu suchej kalkulacji; natomiast w miastach proces ten się opóźnia. Dlatego też można mówić o relatywnej poprawie sytuacji na wsi.

Hasłem rewizjonizmu nie byłoby zatem: przetrwać i wytrwać, lecz: zmienić współczynnik stosunku pomiędzy potrzebami a możliwościami ich zaspokojenia. Nie rezygnować, lecz dopasować się do wymagań epoki. Nie burzyć, jeno — przebudować. I walczyć z dysproporcjami wewnętrznemi, których tak wiele w Polsce!

JÓZEF PONIATOWSKI

JAK REALIZOWAĆ SŁUSZNĄ AMBICJĘ

Grupy społeczne o tyle mogą zyskać stały wpływ na kierunek polityki gospodarczej Państwa, o ile potrafią postawić każdy swój postulat na płaszczyźnie dobra publicznego, uwzględniając wszystkie interesy wchodzące w grę.

Rolnicy wogóle, a polscy w szczególności, nie przepadają, jak wiadomo, za statystyką. Nie lubią dostarczać dla niej materjału i z przekąsem mówią o jej wynikach. Nierzadko mają w tem rację, ale to do dzisiejszego tematu nie należy. Jest wszakże jeden stosunek liczbowy, dostarczony przez statystykę, który rolnicy nietylko znają, ale bardzo lubią nim operować: to dwie trzecie ludności rolniczej w stosunku do całego zaludnienia Polski. Mniejsza z tem, że stosunek ten nie jest ścisły (dla ludności zawodowo czynnej jest wyższy, dla całej zaś ludności, wyżywiającej się z rolnictwa i zawodów pokrewnych — niższy), a nie wiemy jeszcze, jak będzie wyglądał w świetle zeszłorocznego spisu. Nie chodzi tu o dokładność, ale o wnioski, jakie z tego stosunku są wysnuwane, są słuszne, a jeśli w części są słuszne, jakie stąd płyną konsekwencje.

Jak ogólnie wiadomo, rola odgrywana przez rolnictwo w życiu gospodarczem kraju jest mniejsza, niżby to wynikało ze stosunku liczbowego ludności. Znaczna część gospodarstw wiejskich prowadzi gospodarkę półnaturalną, ich związek z życiem całości jest zatem b. luźny. Czy to weźmiemy udział w wytwarzaniu wartości, czy w wymianie, czy w dochodzie społecznym, czy w spożyciu, czy w zdolności podatkowej — wszędzie na głowę ludności rolniczej przypada mniej niż na głowę przeważnej części pozostałych zawodów. Mniej przypada także w udziale myśli rolniczej w stanowieniu o podstawach państwowej polityki gospodarczej. I jakkolwiek od lat trzech zrozumienie i uwzględnianie potrzeb rolniczych postąpiło olbrzymiemi krokami naprzód, jakkolwiek o świadomem pomijaniu i krzywdzeniu interesów producenta rolnego niema dziś mowy, jakkolwiek na wielkich konferencjach „zorganizowanego" rolnictwa zapadają *jednomyślnie* uchwały, akceptujące wytyczne polityki rolniczej Rządu—trwa, nawet kto wie czy nie wzrasta wśród rolników przeświadczenie, że wóz polityki gospodarczej toczy się obok nich i bez ich współudziału.

Większe uwzględnianie interesów rolnictwa wynika z lepszego zrozumienia tych interesów przez czynniki kierujące polityką gospodarczą, oraz z lepszego zrozumienia przez całe społeczeństwo, że katastrofa najliczniejszej grupy zawodowej musi się wiązać z bardzo ciężkiemi następstwami dla grup pozostałych. To uświadomnienie przyszło nie dzięki bardziej celowej akcji myśli rolniczej — nauczycielem społeczeństwa nie - rolniczego był przedewszystkiem kryzys gospodarczy. Brak jest gwarancji, czy po śmierci tego nauczyciela, której mu wszyscy serdecznie życzą, lekcja nie pójdzie stopniowo w zapomnienie, jak to miało miejsce z tylu już doświadczeniami. Nawet jednak abstrahując od tej możliwości, dążenie rolników do zwiększenia swego udziału w tworzeniu polityki gospodarczej jest zdrowe i zupełnie zrozumiałe.

Bardzo też powierzchownym byłby argument, że skoro państwo ponosi już dla rolnictwa najwyższe ofiary, na jakie je stać, tedy nic więcej i sami rolnicy zrobićby dla siebie nie mogli. Znaczenie zarządzeń polityczno - gospodarczych mierzyć się bowiem winno nie wielkością ofiar, ale ich skutecznością. nadto stanowisko bierne, stanowisko niejako przedmiotu dobroczynności publicznej, jakie w tej chwili rolnictwo do pewnego stopnia zajmuje, jest upokarzające i nie sprzyja wydobyciu najtęższych sił społecznych. Możnaby z łatwością udowodnić, że część wielkiego przemysłu jest w o wiele wyższym stopniu zależne od ofiar ze strony państwa i społeczeń-

stwa, jednakże przemysł, zwłaszcza wielki, nigdy nie bywał biernym, nigdy nie wyrzekał się wpływu na losy całości, a ofiary na jego rzecz ponoszone miały niekiedy więcej cech rabunku, albo wymuszenia niż filantropji. Pomiędzy temi skrajnościami leży ta najwłaściwsza droga, której na imię: współpraca wszystkich grup społecznych około budowy wspólnego dobra.

Z tego punktu widzenia wzmożenie aktywności rolnictwa, jako grupy, w stosunku do swej liczebności najbardziej biernej, wydaje się pożądane, a nawet konieczne. Budzenie się wśród rolników ambicji współtworzenia Państwa, a więc i jego polityki postępuje raczej zbyt powoli niż zbyt szybko. Wyraźne oświadczenie prezesa Związku Organizacyj Rolniczych R. P., pana Kazimierza Fudakowskiego na niedawnej konferencji zbożowej w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, oświadczenie, zawierające zwrot, że rolnictwo chce być podmiotem, nie zaś tylko przedmiotem polityki gospodarczej, stanowi pod tym względem pomyślny krok naprzód.

Krok ten o tyle tylko będzie miał znaczenie, o ile nie pozostanie pięknym frazesem, czy żądaniem, o ile stanie się hasłem programowem na długą metę, które rolnicy zechcą i potrafią zrealizować. Samo hasło każdy zapewne rolnik bez sprzeciwu podejmie, jednakże drogi ku jego urzeczywistnieniu, a nawet sama istota i znaczenie nie wydają się równie uzgodnione i uświadomione.

Ambicja udziału w tworzeniu polityki gospodarczej wyraża się, jak dotąd, przeważnie w postaci rozgoryczenia istniejącym stanem rzeczy, w postaci błędnego mniemania, jakoby Rząd w porozumieniu z ludnością miast rozmyślnie wsi do głosu nie dopuszczał, wreszcie w postaci domagania się możliwie znacznej liczby miejsc dla rolników nietylko w kolegjalnych ciałach doradczych, przy organach rządowych i samorządowych, ale nawet w organizacjach społeczno - gospodarczych o charakterze wybitnie handlowym. Tego rodzaju stan ducha i tego rodzaju uchwały dowodzą potrzeby pogłębienia problemu traktowanego przez ogół rolników zbyt powierzchownie.

Nieporozumienie polega na tem, że rolnicy szukają przyczyny niepokojącego ich stanu rzeczy *nazewnątrz:* oto Rząd, oto kierujące czynniki polityczne rzekomo nie chcą im przyznać wpływu, odpowiadającego arytmetycznemu stosunkowi zaludnienia rolniczego do nierolniczego. Rzeczy mają się niemal odwrotnie: czynniki kierownicze robią wysiłki dla wciągnięcia rolników do większego udziału w tworzeniu wytycznych dla polityki gospodarczej — z dość mizernym, jak dotąd, skutkiem. Dr. Janta - Połczyński, jako Minister Rolnictwa, nietylko zainicjował nader czynną politykę rolniczą, opartą o ciągły kontakt z przedstawicielami organizacyj rolniczych, ale nadto z uporem wielokrotnie powtarzał, że jest gotów stać się realizatorom każdej poważnej koncepcji gospodarczej, którąby dojrzała w społeczeństwie rolniczem. Niestety, takich koncepcyj brakło. Ministerstwo Rolnictwa próbowało własnym koncepcjom nadać pozór inicjatywy społecznej, to wszakże nie zmienia istoty rzeczy. Przyczyn małego udziału grupy rolniczej w kształtowaniu się myśli gospodarczej, a pośrednio polskiej rzeczywistości gospodarczej, należy szukać *wewnątrz,* wśród samych rolników. Wysiłki, skierowane ku zapewnieniu najsilniejszej ilościowo reprezentacji rolnictwa we wszelkich komisjach, radach i komitetach muszą pozostać jałowe, dopóki nie wiemy, do czego ci reprezentanci mogą dążyć, dopóki reprezentują oni jakiś nasz ogólny interes, który każdy może rozumieć inaczej, a nie określone, mądrze przemyślane, postulaty.

Przyczyny słabości myśli ekonomicznej rolnictwa polskiego są dość złożone. Sam charakter pracy zawodowej skłania raczej do obserwowania przyrody i pokonywania indywidualnych, dla każdego warsztatu innych, trudności technicznych, nie ułatwia natomiast zrozumienia praw rządzących rynkiem, którego bardzo skromny i nietypowy odcinek może rolnik obserwować. Ogólnie też znaną konsekwencją tego stanu rzeczy jest wysoki naogół poziom naszych instytucyj badawczych i uczelni rolniczych w zakresie nauk przyrodzonych i technicznych i niedostateczne uwzględnianie zagadnień ekonomicznych. Zawód rolniczy nie usposabia również do poświęcania dużo miejsca lekturze, albo do obdarzania zaufaniem teoryj, nie dających się na poczekaniu empirycznie sprawdzić. Nadto w przemyśle, w handlu, interesy zawodowe reprezentują często najtęższi fachowcy swoich zawodów. W rolnictwie najwybitniejsi fachowcy z natury rzeczy przebywają na wsi zdala od ośrodków politycznych, reprezentują zaś interesy rolnicze urzędnicy reprezentacyj rolniczych, w niewielkiej tylko liczbie rekrutujący się zpośród byłych rolników - praktyków. Ci urzędnicy reprezentują o tyle lepszą znajomość spraw publicznych i taktyki ich załatwiania od swych mocodawców, że siłą rzeczy oni stają się czynnikiem kierującym opinją rolniczą, zwłaszcza, że oni mają w ręku prasę rolniczą, obsyłają konferencje rolnicze, wygłaszają referaty, t. zw. opinja „zorganizowanego rolnictwa" jest faktycznie opinją płatnych kierowników organizacyj rolniczych, a kontrola tej opinji przez samych rolników jest oczywistą fikcją. Ten stan rzeczy dotkliwie zmniejsza ciężar gatunkowy opinij rolniczych, w porównaniu z opinjami naprawdę zorganizowanych grup kapitalistycznych, gdzie postulaty i argumenty, przygotowane także przez płatnych funkcjonarjuszów, reprezentują jednak w daleko wyższym stopniu zainteresowany kapitał.

Czy przynajmniej polityka organizacyj rolniczych zmierza do takiego wychowania społeczeństwa rolniczego, aby jeśli nie dziś, to za lat kilkanaście mogło wziąć czynny udział w tworzeniu realizowanych przez Państwo koncepcyj gospodarczych? Trudno na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. *Uchwały i dezyderaty „zorganizowanego rolnictwa", zbyt zdecydowanie czynią z rolnictwa objekt polityki gospodarczej, aby się ono mogło stać tej polityki subjektem.* Nawet wśród kierowników i prezesów poważnych organizacyj pokutuje dotąd zasklepianie się w ciasno pojętym egoistycznym interesie grupowym, brak nietylko zrozumienia, ale nawet zaciekawienia dla wszystkiego, co się bezpośrednio z tym interesem nie wiąże. W jednej z naszych akademickich uczelni rolniczych słyszałem anegdotę o słuchaczu, który zapytany na egzaminie z zoologji o amebę, odpowiedział z oburzeniem: „Panie profesorze, ja amebami orać nie będę". Już tedy wśród młodzieży pojawia się niepokojące zjawisko niechęci dla wszystkiego, co niema rzucającego się w oczy bezpośredniego związku z ich materjalnym interesem. Ta ameba wciąż jeszcze pokutuje wśród jednostek kierowni-

czych „zorganizowanego" rolnictwa. Gdy w dyskusji nad zagadnieniem kukurydzy padły głosy, że wpływ projektowanego cła na nasz eksport przemysłowy do Rumunji nie powinien wogóle nas, rolników, interesować, niech tem się frasują czynniki odpowiedzialne za handel zagraniczny (zupełnie analogiczną dyskusję powtórzono na temat importu siemienia lnianego z Łotwy), stało się jasne, niezależnie od takiego czy innego stanowiska co do meritum omawianych problemów. że handel zagraniczny pozostaje dla „reprezentantów" polskiego rolnictwa — amebą. W innej dyskusji ktoś wskazał, że rolnictwo nie może się domagać takich zarządzeń, któreby zniszczyły niedawno rozwinięty przy wydatnem poparciu polityki państwowej przemysł tłuszczowy. Odpowiedziano mu, że niech o to głowa boli przemysłowców. Przemysł bowiem jest także dla wielu przodujących działaczy rolniczych amebą. Dla innych amebą jest Skarb Państwa, dla jeszcze innych pieniądz. I jakkolwiek niewątpliwie są światli rolnicy, którzy obejmują, a przynajmniej starają się objąć całokształt zagadnień publicznych nie pod kątem widzenia własnego podwórka, można śmiało twierdzić, że dopóki ogół tych rolników, którzy tworzą opinję, nie zrozumie, że dla skutecznego działania muszą znać nietylko fizjologję konia, ale i fizjologję ameby, w przesnośni i bez przenośni, dopóty marzenia o zwiększeniu wpływu rolnictwa na politykę gospodarczą pozostać muszą — mrzonką. Choćby bowiem przyznano rolnikom nawet dwie trzecie miejsc w parlamencie, w samorządzie, w ciałach opinjodawczych, ta arytmetyczna większość może w najgorszym razie utrudnić pracę innym, w najlepszym będzie nieszkodliwą, ale nie będzie zdolna do pchania wozu polityki gospodarczej po własnej, przez siebie uznanej za najlepszą drodze. Na to bowiem trzeba woźniców, którzy nie wpadną do rowu z powodu napotkanej ameby.

STANISŁAW LAUTERBACH

RUJNUJĄCA KONKURENCJA

Na marginesie odczytu Dr. Rogera Battaglii o łódzkim kartelu przędzalniczym.

Odczyt powyższy wygłoszony w Łodzi w dn. 5.6 b. r. pomyślany był zdaje się, jako kontr-para w stosunku do niedawnej prelekcji prof. H. Tennenbauma na ten sam temat. Prof. Tennenbaum uderzył w łódzki kartel toporem logiki ekonomicznej, a zrobił to tak silnie i umiejętnie, że się zdawało, iż z koncepcji tego kartelu poprostu drzazgi lecą. Pan Battaglia miał zadanie od pana Tennenbauma trudniejsze: zebrać te drzazgi, pozlepiać, posztukować, podwindować kartel do godności pożytecznego instrumentu polityki gospodarczej, wreszcie pokazać, że kartel ten nie ma nic wspólnego z przymusem, a przeciwnie: jest wytworem poprostu idealnej i harmonijnej współpracy sfer gospodarczych...;

Powiedzmy odrazu, że pan prelegent zadania tego nie spełnił: są sprawy tak złe, że najświetniejszy adwokat nie da rady, są drogi tak wyboiste, że najlepszy szofer nie ujedzie. Taką właśnie złą sprawą jest obrona przymusu kartelowego, taką wyboistą drogą jest rozumowanie ekonomiczne, przez które przejść trzeba, aby się zbliżyć do wytkniętej przez prelegenta tezy.

Jak wiadomo, uzasadnieniem kartelizacji przędzalnictwa bawełnianego, jak i kartelizacji innych dziedzin przemysłowych, zorganizowanych na podstawie przymusu, jest to, że bez tych ram organizacyjnych ma miejsce t. zw. rujnująca konkurencja i że kartelizacja, usuwając tę konkurencję, stwarza stan rzeczy rzekomo pomyślny dla większości jednostek prywatno-gospodarczych, a zatem i dla całości gospodarstwa społecznego.

Pojęcie „rujnującej konkurencji" było też centralnem pojęciem odczytu dr. Battagli, z którego wywodów najwyraźniej wynika, jakoby istniały dwa gatunki konkurencji: „poczciwa", „zdrowa", będąca odpowiednikiem t. zw. czasów „normalnych" i konkurencja złowroga, niszcząca podstawy bytu społeczno gospodarczego. Tę pierwszą można i trzeba tolerować, ale gdy się ona w pewnych warunkach przeradza, jak mówi prelegent, w „zoologiczną", „niszczycielską", to trzeba ująć ją w klamry kartelowe i położyć jej kres.

Na dnie tego rozumowania leży błąd zasadniczy. Konkurencja, jako motor współczesnego gospodarstwa społecznego ma zawsze tę samą niezmienną charakterystykę ekonomiczną i a priori zdyskwalifikować trzeba pogląd, który usiłuje ustalić, że do pewnej daty konkurencja jest „zdrowa", a po tej dacie — „zoologiczna". Konkurencja może być rujnująca dla poszczególnych jednostek prywatno-gospodarczych, dla tych mianowicie, dla których rozgrywka gospodarcza ujemnie się kończy, ale z punktu widzenia kapitalistycznego gospodarstwa społecznego jako całości, konkurencja nigdy rujnująca nie jest. Cóż to bowiem jest przegrana konkurencyjna, zejście z rynku, likwidacja warsztatu pracy? Jest to wyraz faktu, że w danych warunkach przedsiębiorstwo nie wykazuje już zdolności do dalszego samoistnego bytu, że mogłoby dalej istnieć tylko *na koszt gospodarstwa społecznego.* Nie śmierć przedsiębiorstwa nieżywotnego, ale dalsze jego istnienie jest uszczerbkiem dla całości społeczno - gospodarczej. Dlatego wszelkie metody prolongujące w sposób sztuczny dalsze istnienie, a ściślej wegetację przedsiębiorstw nieżywotnych, są szkodliwe dla gospodarstwa społecznego, rozumianego jako całość.

Kartel przymusowy jest instrumentem zachowania na placu 2 kategorji jednostek gospodarczych, które powinny z niego zejść: tych, które przeżywają uwiąd starczy, i tych, których fundamenty finansowe są notorycznie przegniłe. Dlatego polityka przymusu kartelowego jest w gruncie rzeczy programem sklerozy ekonomicznej gospodarstwa społecznego.

Przymus kartelowy jest „zły" nie z punktu widzenia tych czy innych zapatrywań ekonomicznych: jest on objektywnym absurdem z punktu widzenia podstaw ustrojowych współczesnego gospodarstwa Żyjemy bądź co bądź i mimo wszystko w liberalno-

kapitalistycznym systemie gospodarczym. Ustrój ten ma do swej dyspozycji jeden jedyny regulator. którym jest konkurencja. Jeżeli się tę konkurencję w pewnej dziedzinie bierze w kleszcze kartelowe, a jednocześnie zachowuje się prywatną własność środków produkcji i teoretycznie nienaruszoną prywatną dyspozycję gospodarczą tysięcy i dziesiątków tysięcy indywidualnych przedsiębiorców, to wytwarza się kompletny chaos, pozbawiający gospodarstwo społeczne wszelkiego właściwie sposobu równoważenia się.

Jeżeli się prowadzi politykę gospodarczą w ramach liberalno - kapitalistycznej rzeczywistości życiowej, to trzeba akceptować wszystkie, nawet najostateczniejsze konsekwencje konkurencji. Konkurencja, jak wszystko w życiu gospodarczem, ma coprawda swój rachunek strat i zysków: przynosi także straty. Chodzi jednak o to, że o ile gospodarstwo, będące w swem zasadniczym typie liberalno - kapitalistycznem, nie jest *całkowicie* przesycone jednolitą doktryną liberalną, to wskutek tego narażone zostaje na straty, przekraczające ewentualne straty, spowodowane przez konkurencję, w pierwszym bowiem wypadku system polityczno - gospodarczy staje się mieszaniną pierwiastków przeciwstawnych, nawzajem częściowo się paraliżujących i wogóle syntezą wszelkich wad, jakie w życiu gospodarczem są do pomyślenia. Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że na horyzoncie finalnych celów polityki gospodarczej musi stać czysty kapitalizm, albo czysty kolektywizm. Tertium non datur.

W ustroju liberalno - kapitalistycznym niema zatem konkurencji „rujnującej", „złej", tak jak niema zresztą konkurencji „dobrej": jest poprostu konkurencja i ta bezprzymiotnikowa. Konkurencja ma zawsze rację bytu w danej konstytucji ekonomicznej społeczeństwa. Nie możemy zatem zrozumieć, jak pomieścić w ramach logiki ekonomicznej uznanie przez p. prelegenta zasadniczych podstaw współczesnego gospodarstwa, przy równoczesnem potępieniu konkurencji, która jest tego gospodarstwa siłą poruszającą.

Zresztą prelegent w swoich wywodach sam sobie przeczy. O ile zdołałem dobrze myśl Szanownego prelegenta uchwycić to wg. niego *prawdziwymi* instrumentami *porządkowania* rynku są właściwie nie kartele, lecz monopolistyczne jednobranżowe trusty. Oczywiście: gdzie jest na placu jeden producent i jedna dyspozycja gospodarcza, tam nie może być konkurencji „rujnującej" bo nie ma żadnej wogóle konkurencji. Socjalizm, kapitalizm państwowy, i trust monopolizujący daną gałąź produkcji, są formacjami zgoła różnemi, mają jednak to wspólne znamię, że w pewnym zakresie zaprowadzają jedną komendę gospodarczą i dlatego mogą być w takim czy innym stopniu organami planowości gospodarczej. Ale przymus kartelowy czy wogóle system kartelowy, pozostawia przecież zasadę wielości podmiotów gospodarczych i wielość dyspozycji gospodarczych. Dlatego fałszywem jest twierdzenie, że kartel porządkuje rynek po przez rzekome uzdrowienie konkurencji.

Jest rzeczą zastanowienia godną, że dr. Battaglia, wybitny działacz gospodarczy, twierdzi, że np. łódzki kartel przędzalniczy przeciwdziała dekapitalizacji gospodarstwa społecznego, bo ratuje fabryki, któreby bez kartelu padły. Czyżby rzeczywiście prelegent nie widział drugiej strony medalu i nie doceniał ceny, którą za ten zresztą problematyczny — ratunek płaci gospodarstwo społeczne? Prelegent nie uwzględnia olbrzymich strat, wynikających dla gospodarstwa społecznego z tego, że wskutek nieunikniónej w tym kartelu wadliwości w ustalaniu kwot wytwórczych dekapitalizują się, właśnie najlepsze przedsiębiorstwa, otrzymujące zbyt małe kwoty i niesłusznie mające niepomyślny rozkład kosztów generalnych na jednostkę wytwórczości. Prelegent nie uwzględnia też olbrzymich wprost niewymiernych strat społeczno - gospodarczych, wynikających z faktu, że sztucznie podtrzymywane jednostki gospodarcze, którym przywilej kartelowy sam przez się nie może wystarczyć, sięgają do „ramszu" jako do typowej metody polityki finansowej przedsiębiorstwa, co już wprost i bezpośrednio rujnuje zdrowy odłam przemysłu. Prelegent nie uwzględnia wreszcie faktu, że właśnie przywilej, płynący z przymusu kartelowego dla inwalidów gospodarczych, wypacza konkurencję, albowiem w warunkach, wytworzonych przez ten przywilej, zwycięstwo konkurencyjne nie jest jak być winno emanacją przerostu sił finansowo - gospodarczych i techniczno - organizacyjnych „zwycięscy" nad „zwyciężonymi", lecz wynika z uprzywilejowania inwalidy, jest jakby rentą inwalidzką. W tym właśnie sensie, a nie w sensie twierdzeń prelegenta, można mówić o niezdrowej konkurencji, szkodliwej dla stanu kapitałowego gospodarstwa społecznego.

Ulubionym argumentem prelegenta jest ten, że „żyjemy dziś w oblężonej twierdzy". Polityka przymusu kartelowego, czy wogóle polityka kartelowa ma niby ratować chleb dla oblężonej przez kryzys załogi. Sądzimy ze swej strony, że do tego celu nie może prowadzić metoda systematycznego tępienia piekarzy najlepszych, przy równoczesnej ochronie najmniej sprawnych, którzy prędzej czy później i tak zresztą zginą.

Prelegent jest klasycznym przedstawicielem polityki samarytanizmu gospodarczego. Kto jest zdania, że nieuleczalnie chorego nie należy ratować kosztem uśmiercania zdrowych, ten jest według prelegenta „zoologicznym typem liberała". Do tej grupy dzikusów intelektualnych szanowny prelegent zalicza pp. Heydla, Zweiga, Tennenbauma i moją skromną osobę.

Szanowny prelegent wypowiedział w swym odczycie pogląd, że państwo zachowuje się w ekonomji akurat tak zgrabnie, jak słoń w składzie porcelany. Nasuwa mi się pytanie: czy przypadkiem łódzki kartel przędzalniczy (jak zresztą wszelki kartel przymusowy) nie jest właśnie najlepszą ilustracją do tej tezy?

Prosimy o odnowienie prenumeraty za kwartał III (konto PKO. 25 656)

NOTATKI

CO NAM ZOSTAŁO...

W dodatku specjalnym do Nr. 12 „Wirtschaft und Statistik“ z czerwca b. r. znajdujemy interesującą próbę porównawczego obliczenia obciążeń podatkowych i innych w Niemczech, Francji i Wielkiej Brytanji.

Z rekapitulacji tych obliczeń wynikałoby, iż w przeliczeniu na złote dochód społeczny tych trzech państw wynosił (przeciętna roczna z lat 1925—1930):

Niemcy	146 miljardów zł.	
Francja	86 „	„
Anglja	181 „	„

Obciążenie podatkami bezpośrednimi (łącznie z podatkiem od obrotu) wyniosło w analogicznym okresie przeciętnie rocznie:

Niemcy	27.735 miljonów zł.	
Francja	17.997 „	„
Anglja	37.033 „	„

Dorzucając składki na rzecz ubezpieczeń społecznych, „Wirtschaft und Statistik“ dochodzi do wniosku, że łączne to obciążenie w odsetkach dochodu społecznego wynosiło (przeciętna j. wyżej):

Niemcy	25 %
Francja	21 %
Anglja	22 %

Jeżeli za wspomnianem czasopismem przyjmiemy, iż dochód społeczny, przeliczony na głowę ludności, wynosił przeciętnie rocznie: w Niemczech 2.832 zł., we Francji — 2.470 zł. i w Anglji — 4.948 zł., to obciążenie dochodu jednostki stanowiło:

w Niemczech	708 zł.
we Francji	519 „
w Anglji	1.089 „

Na konsumcję [1]) i kapitalizację pozostaje reszta dochodu społecznego. Z obliczeń „Wirtschaft und Statistik“ wynikałoby, że każdy z obywateli zatrzymuje przeciętnie:

w Niemczech	2.124 zł.
we Francji	1.951 „
w Anglji	3.859 „

Przeliczając powyższe kwoty według przedwojennej siły nabywczej (t. zn. według wskaźnika kosztów utrzymania), dochodzimy do nast. przeciętnych:

Niemcy	1.444 zł.
Francja	1.900 „
Anglja	2.298 „

Dla Polski analogicznych obliczeń brak. Niejednokrotnie przyjmuje się, że nasz dochód społeczny w omawianym okresie wynosił przeciętnie 20 miljardów złotych, czyli 640 zł. na 1 mieszkańca. Biorąc pod uwagę rok 1929/30, wzgl. 1929 (a więc jeden z najwydatniejszych pod względem fiskalnym), otrzymujemy, iż *państwowe* podatki bezpośrednie i opłaty oraz składki do instytucyj społecznych wyniosły ok. 1.619 miljonów zł. (52 zł. na 1 mieszkańca) czyli 8,1 % dochodu społecznego. Dodając do tego podatki bezpośrednie i opłaty *samorządowe* (20 zł. na głowę ludności), dochodzimy do wniosku, że z dochodu rocznego w kwocie 640 zł. obywatelowi polskiemu pozostawało przeciętnie 528 zł., które mógł przeznaczyć na kapitalizację i konsumcję sensu largo. Przy uwzględnieniu wskaźnika siły kupna (koszty utrzymania w Warszawie w 1929 r. wynosiły 120 % kosztów z 1914 r.) pozostałość ta równa się 440 zł. przedwojennym. Stanowi to 30,5 % pozostałości, przypadającej na 1 mieszkańca w Niemczech, 23 % — we Francji i 19 % — w Anglji.

[1]) A zatem również na zakup artykułów monopolowych i akcyzowych oraz wyrobów zagranicznych, obciążonych cłem.

WSZYSTKO PO STAREMU.

Po „wakacjach“, trwających około 3 lat, została zwołana Rada Spółdzielcza. Zdawałoby się, że zarówno tak długa przerwa, jak i zainteresowanie się społeczeństwa zagadnieniami spółdzielczemi, spowoduje ożywienie i podniesienie poziomu obrad instytucji, której pożytku nikt w zasadzie kwestjonować nie zamierza. Niestety, XIII (feralne?) posiedzenie Rady w niczem nie usprawiedliwiło pokładanych w niem nadziei, mimo, że w ostatnich czasach zaszły poważne zmiany organizacyjne odnośnie biura Rady (o jego zdeklasowaniu pisaliśmy w Nr. 5 „Gospodarki Narodowej“ w notatce „Epitaphium“), mimo, że ze strony jednego z resortów ministerjalnych prowadzona jest akcja o — parcelację Rady pod kątem zawodowym. mimo, że reforma ustawy o spółdzielniach jest kwestją palącą, etc., etc.

Dla ścisłości należy podać, że projekt zmian w ustawie o spółdzielniach (sprowokowany projektem wniosku posłów z Bloku Bezpartyjnego) był istotnie na porządku dziennym obrad kolegjum Rady. Aby być również w zgodzie z protokułem, stwierdzamy, że projekt ów, opracowany przez komisję pod przewodnictwem Prezesa Rady Spółdzielczej, nie mógł być 14 czerwca ani rozpatrywany merytorycznie, ani tembardziej uchwalony przez Radę, gdyż spotkał się on w łonie tej ostatniej z bardzo rozbieżnemi opinjami. Tem niemniej musimy z całym naciskiem podkreślić, że problem rewizji ustawy z 29. X. 1920 roku nie został postawiony w sposób należyty.

Na 50 zgórą poprawek, zmian i uzupełnień, około 40, a więc poważna większość, posiada charakter formalno - prawny. Reszta to są zmiany merytoryczne, istotne dla poruszanego przez nas zagadnienia. Czy jednak najbardziej istotne? Obawiamy się, że — nie Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że projektowane zaostrzenie karnej odpowiedzialności władz i funcjonarjuszów spółdzielni, a także rozszerzenie tej odpowiedzialności zarówno na członków Rad Nadzorczych (zazwyczaj figurantów i moralnych synekurzystów), jak i dla rewidentów, jest zewszech miar pożyteczne. Zastrzeżenie wzbudza jedynie bezwzględność poprawki (uzupełnienia) do art. 113 ustawy. gdzie się proponuje nałożenie kary od 100 do 2000 złotych na członków Zarządu i Rady Nadzorczej za udzielanie kredytu „z pominięciem obowiązujących przepisów prawa, statutu lub uchwał walnego zgromadzenia“, a więc również kredytu towarowego, niestety, bardzo rozpowszechnionego w spółdzielniach spożywczych.

Poza przepisy karne poprawki merytoryczne w zasadzie nie wychodzą. Zmiany w art. 1, 56 i 72 są słuszne, ale drugorzędne. Ważniejsze znaczenie posiada projektowane uzupełnienie art. 36, iż obroty z niečzłonkami nie mogą przewyższać połowy obrotów

rocznych". Jest to zapewne przejściowy etap na drodze do zupełnego skasowania sprzedaży nie-członkom, tembardziej, że nowela do ustawy o państwowym podatku przemysłowym niedwuznacznie zmusza spółdzielnie do tego rodzaju reformy. Inna sprawa, że proponowany ustęp jest typowem „lex imperfecta", w praktyce niewykonalnem.

Czy jednak rewizja ustawy z 29. X. 1920 r. ma się ograniczyć do cytowanych punktów? Czy zagadnienie prawnej konstrukcji dla spółdzielni mieszkaniowych, wytwórczych, pracy i t. p. organizacyj, odchylających się od szablonu (spożywczego, rolniczo-handlowego i kredytowego) ma pozostać nadal nierozwiązane? Czy nie znajdą się również sposoby na usuwanie fałszywych spółdzielni, „kooperatyw familijnych", jakich pełno, zwłaszcza w Małopolsce Wschodniej? Czy nie będzie okazji do zrewidowania zakresu i metod działania Rady Spółdzielczej, jej plenum i jej biura? Na te pytania nie znajdujemy odpowiedzi ani w projekcie noweli, ani w obradach z 14 czerwca.

I, co gorsza, te i tym podobne pytania nie są zupełnie stawiane wewnątrz ruchu spółdzielczego. Nie słyszeliśmy, by projektowana nowelizacja wzbudziła zainteresowanie t. zw. dołu spółdzielczego. Prasa spółdzielcza przemilczała *meritum* projektu, kierownicy spółdzielni i wogóle spółdzielcy nie zabierają głosu w sprawie, która ich chyba powinna obchodzić, nie rozpisano ankiet czy konkursów, nie zainteresowano społeczeństwa broszurami, odczytami, wiecami itp., nie wszczęto akcji *społecznej*. Ruch spółdzielczy, mianujący się demokratycznym, postępuje wciąż biurokratycznie. O taki czy inny ustęp odnośnego artykułu kłócą się ze sobą kierownicy i urzędnicy związków rewizyjnych. Reszta milczy albo śpi. A może jej do głosu dojść nie dają? Wszystko po staremu. „Tempora mutantur et nos *non* mutamus in illis"...

z. i.

TEORJA I PRAKTYKA.

Budownictwo mieszkaniowe było przez czas dłuższy „benjaminkiem" rządu i społeczeństwa. Bank Gospodarstwa Krajowego rozprowadził na cele budowlano-mieszkaniowe zgórą 500 miljonów zł., za które wybudowano ca 150.000 izb mieszkalnych. Wystawy tanich mieszkań i budynków cieszyły się i cieszą wielkiem powodzeniem. Każdy nieomal reformator społeczny ma na ustach taki czy inny program budowlany. Budować chcieliby wszyscy. zwłaszcza ci, co najmniej przygotowani są do tego finansowo.

Mam w ręku sprawozdanie, doskonałe, sumienne. wnikliwe i wszechstronne sprawozdanie jednej z największych spółdzielni mieszkaniowych w Polsce. Z faktu, że liczy ona 1,477 członków (w czem 40% robotników), że wybudowała pod koniec ub. r. 717 mieszkań z 1.594 izbami, które zamieszkuje 2.737 osób (co odpowiada zaludnieniu przeciętnego miasteczka), wnosić można, że jest to organizacja poważna i może służyć za pewną normę stosunków panujących w spółdzielczości mieszkaniowej, czy też powojennym ruchu budowlano-mieszkaniowym. Spółdzielnia ta, aczkolwiek nastawiona przedewszystkiem na dopływ elementu robotniczego, którego warunki mieszkaniowe są więcej niż krytyczne, liczy wśród swych lokatorów zaledwie 36% robotników; pamiętać przytem należy, iż $^2/_3$ tych ostatnich posiada stałe, względnie dobrze płatne stanowiska. Potwierdza to fakt, że wśród nowych członków, którzy się zapisali w ub. r., połowa zarabiała ponad 300 zł. miesięcznie; dla pracowników umysłowych odsetek zarabiających ponad tę normę wynosi 80%.

Spółdzielnia dostarcza mieszkań z reguły małych. przeznaczonych dla niezamożnych warstw ludności. Stąd mieszkania 1 i 1½ izbowe stanowią 17%, 2 i 3 izbowe 79%, 3½ i 4 izbowe zaś tylko 4%. Jednakowoż czynsze, które pobiera, do niskich bynajmniej nie należą: za lokale 1 izbowe płaci się (w zależności od kubatury i piętra) 15 — 38 zł. miesięcznie, 1½ izbowe (czyli 1 pokój z alkową) 33 — 60 zł., 2 izbowe 48 — 143 zł., 3 izbowe 80 — 183 zł., 4 izbowe 128 — 214 zł., przyczem kuchnie liczy się za izbę, jednakże z reguły mieści się ona w niszy pokoju stołowego.

Komorne za rok 1931 wyniosło 580 tys. zł., co czyni przeciętnie na 1 mieszkanie 67 zł. miesięcznie, na 1 izbę 30 zł. Przy zarobkach lokatorów, które można określić w grubem przybliżeniu na 400 zł. miesięcznie, komorne — łącznie z ceną opału (centralnego ogrzewania) pochłania ok. 20% zarobku. Wysokość czynszu w dawnych mieszkaniach nowych członków wynosiła przeciętnie 60 — 70 zł., co rozbijałoby legendę o tanich mieszkaniach w starych domach i o drożyźnie mieszkań nowych.

Posługiwanie się przeciętnemi o tyle jednak może być niewskazane, że odchylenia od nich są nader znaczne, jak tego dowodzi rozpiętość czynszów oraz fakt, że aż 28% mieszkań jest przeludnionych (w nowych domach, obliczonych na walkę z przeludnieniem!...), albowiem na 1 izbę przypadają zgórą 2 osoby, co dowodzi, że w wielu rodzinach nawet niskie komorne może być zbytnio uciążliwe.

Ze wspomnianych 580 tys. zł. na oprocentowanie kapitału poszło 300 tys., na koszty administracji (zarządu i właściwej administracji wybudowanych domów) 221 tys., na amortyzację 122 tys. zł.; deficyt 63 tys. zł. pokryto specjalnemi odpisami. Co więcej, spółdzielnia w swem sprawozdaniu podaje, iż „o pełnem wpłaceniu do Banku Gospodarstwa Krajowego zaległych rat procentów budowlanych nie mogło być mowy". Ogólny przypis odsetek za r. 1931 wynosi zgórą 700.000 zł., a więc przekracza wpływy z komornego. Zaległości lokatorów są jeszcze nieznaczne (3,1%), atoli czynsze obliczono według przeciętnej siły płatniczej, a nie według wymagań życiowych, które przez usta B. G. K. domaga się takich czynszów, żeby pokrywały one i administrację i amortyzację i pełne, normalnie stosowane oprocentowanie bez grosza zaległości.

A to jest wykluczone. O przekroczeniu wspomnianych 67 zł. miesięcznego czynszu nie można dzisiaj mówić wobec zbiednienia lokatorów. Wierzycielowi nie pozostaje przeto nic innego, jak pogodzić się z niemożebnością opłacania przez dłużników części oprocentowania, które w budownictwie mieszkaniowem jest stanowczo wygórowane. Powinno to być również przestrogą tak dla budujących, jak i dla tych, co budowę finansują, aby na przyszłość pomiędzy zdolnością płatniczą lokatora a wymaganiami rynku pieniężnego nie zachodziły tak jaskrawe dysproporcje.

PROPAGANDA POLSKI

Rozczulamy się zawsze, gdy cudzoziemiec życzliwie pisze o Polsce, choćby to nawet były rzeczy pisane płytko. ...Bo to jednak propaganda Polski... Nie mam zamiaru tu zajmować się kwestją właściwej propagandy Polski, ale wskazać chcę na jedną okoliczność stanowiącą dość ważki element dla poznawania gospodarczego naszego kraju. Oto coraz więcej ukazuje się na zagranicznych uniwersytetach prac doktorskich studentów Polaków na tematy dotyczące życia gospodarczego Polski. Prace te, pisane w językach obcych i znajdujące się na zagranicznym rynku księgarskim i zakatalogowane w zagranicznych bibljotekach stanowią jednak te elementy wiadomości o Polsce, z których zagranica może korzystać. Oczywicie, nie egzagerujmy, prace te nie stanowią poczytnej beletrystyki, są zapewne w pewnych wypadkach wykorzystywane do prac specjalnych, ale właśnie to ma swoje znaczenie. Płomienna mowa czy soczysty artykuł nie wytwarza objektywnej opinji, stwarza nastrój, opinję, natomiast — wytwarza książka poprzez zebranie i analizę faktów.

To też z całem zadowoleniem należy zanotować wydanie w jęz. francuskim pracy p. Witolda Czerwińskiego o problemie niezależności gospodarczej Polski[1]). Praca ta, będąca pracą doktorską seminarjum Prof. Rogera Picard'a porusza ten tak ważki, a naogół w Polsce mało doceniany w swej wadze problem „miejsca Polski pod słońcem".

Praca p. Czerwińskiego składa się z dwóch części: w pierwszej zajmuje się przyczynami historycznemi, które opóźniły rozwój ekonomiczny Polski, wiążąc to z ujemną polityką zaborców; w drugiej poszukuje dróg rozwoju gospodarczego Polski niepodległej, dochodząc do wniosku, iż obfitość rąk roboczych i posiadanie pewnych bogactw naturalnych wskazują iż linją rozwojową będzie industrializacja kraju w tych dziedzinach, gdzie temu najbardziej sprzyjają warunki naturalne. Przesłanki i wnioski pracy p. Czerwińskiego będą niewątpliwie analizowane na łamach naukowej prasy ekonomicznej, tu miejsca na t. zw. recenzję być nie może. W danym wypadku chodzi o znaczenie dla polityki gospodarczej.

Otóż p. Czerwiński podkreślając patrzebę międzynarodowej współpracy gospodarczej, godzi się z klasyczną zasadą, iż podstawą współpracy musi być międzynarodowy podział pracy. Lecz zaznacza, i to jest moment dużej wagi, iż pojęcie podziału pracy i równowagi gospodarczej może być dwojako rozumiane: jako podział na kraje przemysłowe i rolnicze (koncepcja statyczna) i jako podział ze względu na możliwości rozwoju gospodarczego (koncepcja dynamiczna). P. Czerwiński opowiada się za koncepcją, bardziej życiową, słusznie zaznaczając, iż opóźnienie pewnego kraju w rozwoju gospodarczym, jak np. Polski, i to opóźnienie z przyczyn przypadkowych, nie może być stabilizowane przez międzynarodową politykę gospodarczą. Tak jest. To jest ta zasadnicza idea, która musi być stale naszym zasadniczym motywem w naszych stosunkach z zagranicą: międzynarodowa polityka gospodarcza nie ma prawa stabilizować naszego czasowego opóźnienia w rozwoju ekonomicznym!

P. Czerwiński wykazuje w swej pracy, że nietylko nie ma prawa, ale i niema w tem interesu i korzyści. To też słusznie w przedmowie do pracy zaznacza Prof. Picard: „Ale główna zasługa pracy p. Czerwińskiego polega na tezie zasadniczej, którą on rozwija, a która polega na prawie narodu do użytkowania i rozwijania swych sił ekonomicznych".

a. k. i.

[1]) Witold Czerwiński, docteur en droit. — Le problème de l'Indépendance économique de la Pologne. — Paris 1932, stron 133.

POWIERZCHOWNE WNIOSKI.

„Kurjer Poznański" w Nr. 310 z 10 lipca br., podając statystykę importu tytoniu do Polski, wyraża zdziwienie, że gdy w 1931 r. kwintal importowanego tytoniu kosztował przeciętnie 292 zł., to w I kwartale 1932 r. cena 1 q. podskoczyła do 574 zł. Kiedy ceny kawy, herbaty, kakao, bawełny itp. surowców katastrofalnie zniżkują, to jakim cudem „sam tytoń, miast zniżkować, zwyżkował, i to blisko o 100%"? Rzecz prosta, niema mowy o jakimkolwiek „cudzie". Cyfry są prawdziwe, ale wnioski błędne. Albowiem autor notatki porównał ze sobą dwie wartości, każdą o innym wymiarze: pełny rok 1931 z *jednym* kwartałem 1932 r. Jasną jest rzeczą, iż wystarczył jeden większy transport lepszych tytoni w marcu 1932 r., aby przeciętna cena 1 q w r. b. była wyższa, aniżeli w ciągu ub. r. I odwrotnie: przywóz gorszych gatunków tytoniu (np. machorki) w kwietniu czy maju 1931 r., nie mający swego odpowiednika w I kwartale br. (odpowiednik ten może się znaleść dopiero w następnym kwartale), zmniejszył przeciętną cenę 1 q tytoniu w r. ub. Bez zbadania zatem gatunków tytoni w porównywanych ze sobą okresach nie można wyciągać *ekonomicznych* wniosków z liczb, *arytmetycznie* zupełnie prawidłowych.

b. s.

Z powodu przerwy wakacyjnej

następny (podwójny) numer

ukaże się 15 września b. r.

Redaktor odpowiedzialny KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI Sekretarz Redakcji: ZOFJA CIECHOMSKA

RĘKOPISÓW NADESŁANYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: CHMIELNA 23 M. 6 TEL. 727-99. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.